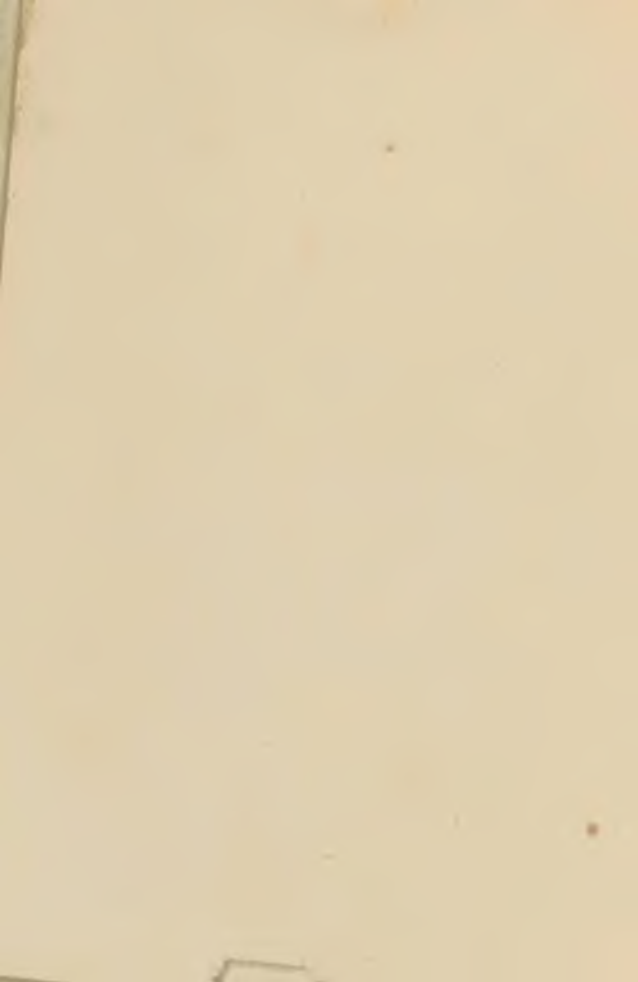
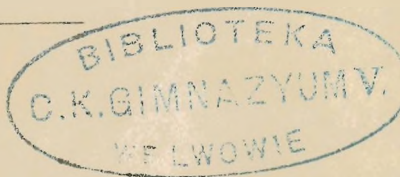




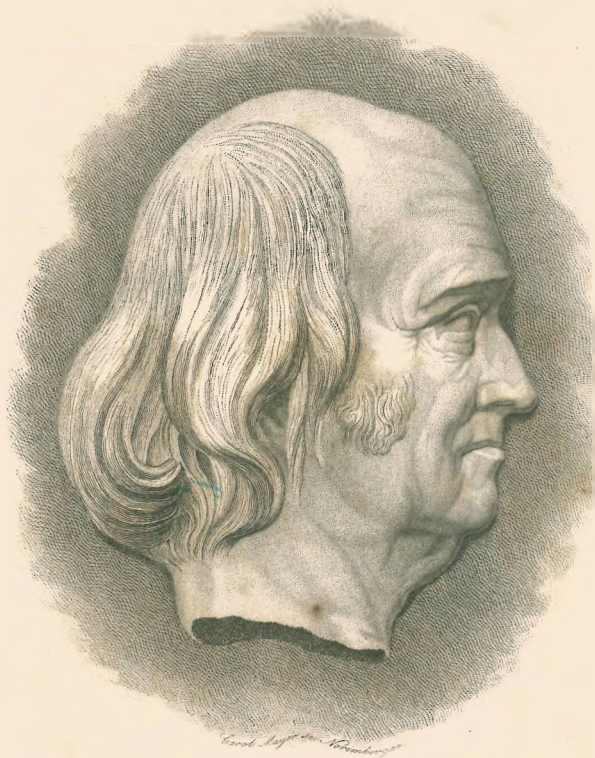




J. U. NIEMCEWICZ.







JULIAN URSYN NIEMCEWICZ

1522

DZIEŁA

P O E T Y C Z N E

WIERSZEM I PROZĄ

L. 1085

J. U. NIEMCEWICZA.

16N
TOM PIERWSZY

Z POPIER

Wydanie nowe i kompletne

Dana Nep. Górniewicza.

w Lipsku.

Nakładem i Drukiem Breitkopfa i Haertela.

1838.

KSIEGOZBIÓR Nr
W. S. WYROBEK Nr

ANULOWANO
22 1854

2801.2

niem Cenzury.



463144

ROZPRAWA O BAJCE.

ROZPRAWA O BAJCE

CZYTANA

NA PUBLICZNEM POSIEDZENIU
TOW. KR. WAR. P. N.

PRZEZ

J. U. NIEMCEWICZA.

Dnia 30. Kw. 1814. r.

Niez mordowany w pracach swych i gorliwości godny Prezes Towarzystwa Król. P. N., dawno chwalebny powziął był zamiysł, aby jak już względem dziejów ojczystych, tak równie w celu utworzenia jak najrychlej dzieła obejmującego wszystkie literatury rodzaje, członki Zgromadzenia Królewskiego części te rozebrały pomiędzy siebie, a to, by w jedno potem zebrane ciało, utworzyły dla pożytku ziomków pierwsze historią ojczystą, drugie nauczny bieg wszystkich literatury rodzajów.

W podziale tym Apollog czyli Bajka przypadła na mnie, uiszczając się więc z włożonego obowiązku, rzecz o Bajkę wieść będę.

O DAWNOŚCI APOLLOGU CZYLI BAJKI.

Niemylnie twierdzić można, iż ze wszystkich części składających literatury ogół, Apollog czyli Bajka jest najdawniejszą. Człowiek ma wrodzoną skłonność do słuchania opowiadań. Bajka zaostcza jego ciekawość i bawi imaginacją; znajdujemy ją w najdawniejszych pomnikach wszystkich narodów. Ktokolwiek bądź wynalazcą jest Apollogu, czyli trwożliwy rozsądek w uściech niewolnika pożyczył tej pokrytej mowy, by się bez niebezpieczeństwa dać Panu swemu zrozumieć; czyli mędrzec, chcąc ją pogodzić z miłością własną (najdumniejszym ze wszystkich Panów) umyślił dać prawdzie, ten kształt przyjemny i śmiejący się, w każdym przypadku wyznać należy, iż Bajka jest jednym z wynalazków przynoszącym najwięcej chluby umysłowi ludzkiemu. Przez ten to szczęśliwy wynalazek, prawda wprzód nim się ludziom objawi, wchodzi w ugodę z pychą i opanowuje imaginację ich. Ucieszona miłość własna, że przeniknęła co utajonem było, przebacza urazie, i naukę powiedzianą zabawnie niepostrzegając tego sama przyjmuje; człowiek bowiem chce się czasem poprawić, lecz nie cierpi by go ganiono, a mniej jeszcze by go nudzono.

Jak wiele innych nauk tak i Bajka przyszła nam od wschodu, Pan Bonlangé dowodzi w gruntownej rozprawie, że Ezop jest tylko zmyślonem imieniem pod którem rozrzucone po Grecyi Apollogi już dawno

na wschodzie znano. Jakoż w Bajce najczęściej odkrywają się znamiona i obroty azyatyckiego dowcipu, ta skłonność do parabolów i zagadek, ten zwyczaj tłómaczenia się przez obrazy, ukrywania nauki pod zasłoną, jak gdyby ją tym lepiej zachowywać, wszystko to, trwa dotąd w Azji. Wschodni Filozofowie i dziś nie piszą inaczej. Do wsparcia mniemania tego, Pan Floryan ten jeszcze dowcipny wniosek dodaje: nigdzie, mówi on, nie musiano się więcej zwierzętami zatrudniać, jak u ludu gdzie Metempsykosys czyli przechodzenie duszy z ciała do ciała, było dogmatem przyjętym. Skoro tylko uwierzono, że dusza nasza przechodziła po śmierci w ciała zwierząt, nie nie było właściwszego i naturalniejszego jak badać, uczyć się starannie obyczajów, zwyczajów, sposobu życia, tych tak interessujących zwierząt: były one dla ludu tego przyszłością i przeszłością, widzieli w nich zawsze swych ojców, swe dzieci, nakoniec siebie samych.

Od pilnego zastanowienia się nad zwierzętami, od przekonania, że mają duszę; łatwo przejść można było do wiary, że posiadają i język. Niektóre rodzaje ptastwa oznaczać to zdają się. Szpaki, przepiórki, kury i mnóstwo innych, żyją zawsze w gromadach. Zkądżeby ta potrzeba towarzystwa? gdyby nie miały daru rozumienia jedne drugich? To zapytanie uwalnia nas od dalszych rozumowań w tej mierze. A tak Metempsykosys, poprowadziwszy ludzi do pilnej zwierząt nauki, od tej wiodąc ich do mniemania że mają swój język, nie zostawał, jak jeden

krok do wynalezienia Bajki czyli do pomysłu, by uczynić zwierzęta nauczycielami ludzi.

Czyli to mniemanie jest prawdziwem czyli tylko dowcipnie wymyślonym, niezawodną jest rzeczą, że Apollog przyszedł do nas od wschodnich narodów. Apollogi Indyjskie między którymi znajdujemy Bajkę dwóch gołębi, przekładane były na wszystkie wschodnie języki, już to pod imieniem Sady Bidpay czyli Pilpay, już pod imieniem Lochmana. Ztamtąd pod tytułem Bajek Ezopa dostały się do Grecyi.

PISARZE BAJEK W RÓŻNYCH NARODACH.

Ezop w opowiadaniu swoim огоłocony jest ze wszystkich ozdób; i moralność jego nie zawsze jest trafną. Wnoszą, że Planudius Mnich żyjący w XIV. wieku, pierwszy co Bajki Ezopa zebrał, wiele pod to imie wcisnął takich, których Ezop nie był pisarzem. Phedr przeniósł je do Rzymu, ten do prostoty Ezopa dodał przyjemność wysłowienia i Poezyi. Jego nadobność, czystość, dokładność, godnemi są wieku Augusta. Mamy ze czterdzieści łacińskich Bajek Avienna żyjącego za czasów Teodozyusza II., są one dosyć mierne, równie do wynalazku jak i do stylu. Lafontaine wybrał co lepsze. Dawniejszym nad Avienna jest Fabulista Grecki Gabrias, ten chcąc być najzwyczajniejszym z bajkarzów, wziął sobie za prawo zawierać wszystkie swoje Bajki w czterech tylko wierszach: znaczna ich liczba trafnie jest wymyślona, lecz zbyt zwięzłość szkodzi nauce i bardziej

ciemność zagadki, niż światło prawdy wystawia. Później Faerne, Abstemius, Cammerarius, pisali w tym rodzaju po łacinie.

Francuzi bogate mają skarby dawnych Fabulistów: Barbaſan zebrał ich razem: w szesnastym wieku niejaki Hagemann z Szalonn pierwszy zaczął pisać Bajki wierszem francuzkim. Po nim Lafontaine, le Noble, La Motte, Dardeux, Groseillée, Fuseillés, Le Moine, Dorat, Imbert, Goss, Fumar, Florian, Ks. de Nivernois, Auger, Auber, Ginguené, mniej lub więcej szczęśliwie Apollogi pisali.

Bajka niemiecka zaczyna się w Minne Singerin, ma ona w sobie czułość i obrazy, Scherz i Bodmer dali nam wiele z nich poznać, Burkarth de Walis używa nieraz obcych wynalezień, zawsze atoli jest naturalnym, silnym i czystym co do języka. Między nowszemi w Niemczech fabulistami sprawiedliwie cenić powinniśmy Hagedorn, Gellerta, Michaelis, Wittenmoff, Lichtewer, Gleim, Lessinga, Meisnera, Pffela i Hallera.

Anglicy w tym rodzaju rymotworstwa mniej byli szczęśliwemi jak w innych, John Gay, Edward Mohre celują pomiędzy wielu, pisali oni (co rzadko gdzieindziej widzimy) oryginalne Bajki, a jak w wolnym narodzie śmiało stosowane do kraju, rządu, ministrów, zwyczajność nie jest ich zaletą. Często wstępy ich są niezmiernej długości tak, że i uwaga i ciekawość wprzody się stępią, nim czytelnik przystąpi do rzeczy. Jest to wada której chronić się należy.

Równie jest nieprzyzwoicie pisać wstęp do Bajki

dłuższym nad Bajkę samą; jakby było budować przysionek większym nad gmach sam. Lestrong, Denis, Wilke, Langhorn, Russel są naśladowcami Francuzów; lecz po większej części nie poznali dobrze natury i istoty Bajki.

Włosi, którzy od wskrzeszenia nauk we wszystkich rodzajach literatury najpierwsze podali nam wzory, później dopiero wrodzony sobie dowcip, czułość, giętkość języka swego obrócili do Bajki. Między przedniejszemi Fabulistami Włoskiemi liczą Verduzzoti, Roberti, Targa, Pignotti, Bertolla, De Rossi i Julio Cesare Capacci. Wyższe nad wszystkich miejsce trzyma Casti, szkoda tylko, że przystojność nie zawsze była mu świętą. Pan Ginguené co przedniejsze z Bajek włoskich autorów dał nam poznać przełożeniem gładkiem i pełnem smaku.

W Hiszpanji Pan d'Yarta pierwszy pisał Bajki godne największej zalety, Pan Florian wiele z nich gładko przełożył.

Rusini wielce szacują z dowcipu i gładkości stylu Pana Kryłof, Dimitrow, Chemnicer. Ks. Wiazemskoj.

I w naszej ojczyźnie rodzaj ten literatury nie był zaniedbany. W obfitym skarbie najdawniejszych Pisarzy Polskich zazdrośnie trzymany w bibliotece Józefa Ossolińskiego w Wiedniu, znajdować się mają dawne bardzo Bajki Polskie prozą pisane. Dzieła więc najdawniejszych u nas rodzaju tego Pisarzów, już jak za stracone mieć powinniśmy, późniejsze nawet Ks. Jabłonowskiego niezmiernie są rzadkie: wy-

dał on je w Lipsku w r. 1731. pod tytułem Sto Bajek i jedna, na pięknym papierze, drukiem jak mówią ze srebra lanym, i przypisał je żonie swojej Joannie z Margrabiów de Bethune Księżnie Jabłonowskiej Wojewodzinie Generalowej Ziem Ruskich. Mówi on w Przemowie swojej: „Wszystkie prawie narody Ezo-
„powe Bajki, w swoim przekładali wrodzonym języ-
„ku, nawet na jego kształt, manierę i przykład swoje
„popisali Bajki. Jako Indyanin jeden wielki, pod pro-
„stoty płaszczem pokryty, polityk azyatycki Pilpay
„nazwany, uczynił, którego i ja po francuzku prze-
„tłómaczonego czytając, wziąłem przed się myśl Pol-
„skiego Ezopa wystawić, w którym są i Ezopowe
„Bajki niektóre, i francuzkie; Poety jednego fran-
„cuzkiego znakomitego de la Fontaine, i z innych
„Autorów pozbierałem, nawet i swojej inwencji Ba-
„jek dołożyłem, *cogitationes umbram tristis carce-*
„*ris dissipantes* a wielkie światło prawdzie, obycza-
„jom, cnocie, i polityce dworskiej przynoszące,“
dodaje dalej Autor: „spodziewam się czytelniku, że
„się nieraz rozśmiejesz, czytając naturalne expressye
„i familiarne sensa, i styl prosty który umyślnie afe-
„ktowałem do naturalnego wyrażenia.“

Chcąc się przekonać jak daleko Autor sprawdził i nadzieje i dawane sobie zalety, czytałem Bajki jego; lecz niestety! nieznalazłem w nich ani prostoty, ani naturalnych jak powiada wyrazów, lecz i owszem wiersz niegładki, rymy pospolite, niedbałe, styl jak powszechnie w owych czasach, pełen makarounizmów; wesołość i żarty niebardzo trafne i świeże: żeby dać

czytelnikowi wzór stylu Pisarza tego, przytoczę tylko koniec dedykacyi jego do żony.

Idźże Ezopie, choć przy brzydkim pysku,
Strój się w drukarni kosztem żony w Lipsku,
I coś z Xantypy złej sobie żartował,
Kłękniij przed moją, byś z nią nie kontrował,
Ale na zazdrość złym, dobrym na przykład,
Czy niósł na pamięć, wiekom przyszłym czy kładł.

Szukałem długo, czyli choć kilka gładkich i trafnych wierszy na pochwałę stylu autora nie znajdę, lecz próżną była praca moja, wszystko prawie w podobnym pisane smaku; oddając więc z innych stron sprawiedliwość Ks. Jabłonowskiemu, nie można go młodzieży naszej za wzór czystego i gładkiego stylu przytoczyć.

Stanisław August za wstąpieniem swem na tron, podał silną swą rękę, długo zaniedbanym muzom Słowiańskim. Miło było wzrastającym na ów czas dowcipom, być od króla rodaka zrozumianemi i zachęcanemi. Panujący, sam smakując w naukach, uczonemi tron swój otoczył. Co czwartek zapraszani byli do stołu królewskiego znakomici na ów czas uczeni. Tam Biskup Naruszewicz czytał dzieje Narodu Polskiego, Ignacy Potocki rozwijał w Logice pasmo rozumowania ludzkiego, JO. Książę Jmć Czartoryski G. Z. P. pierwsze narodu naszego dramatyczne płody. Tam obok wyniosłych pień Trembeckiego, czytał Jakubowski skromne powieści Ezopa i Fedra. Wzmagaly się te pienia przez cały ciąg panowania Stani-

sława Augusta, więcej powiem, wśród burzy okropnej, wśród wściekłych wichrów, które pochłoneły nawę ojczystą, wśród samych gróbów cieni, odzywał się głos ich żałosny. Tak silną jest pierwsza podnieta, pierwsze dane popchnienie umysłowym zdolnościom człowieka. Bodajby po odrodzeniu się naszym pałały światłem nigdy niezgasłem. Jakubowski w tłumaczeniu Bajek La Fontaine, zachował wiele nieporównanej autora tego lubości i prostoty. Weźmy tylko pierwszą jego Bajkę, a znajdziemy w niej prawdziwą cechę stylu La Fontaina.

Konik polny, i Mrówka.

Konik polny całe lato,
Prześpiewawszy, głodny za to.
Z żywności całe obrany
I mroźnym wiatrem owiany,
Nie miał biedny, wątły suchy,
Ni robaczka, ani muchy;
Idzie głodny, krzyczy biada!
Prosi u Mrówki sąsiada,

Pożyczysz jednak to nie podarek
Do przednowka kilka ziarek!
Wszystko jakem zwierz poczciwy,
Zapłacę ci przedeźniwy,

Ziarnem, czy chcesz gotowizną,
Dam ci lichwę, wraz z iścizną.
Mrówka pożyczać nie rada
(To najmniejsza u niej wada)

Pyta Konika, czem przecie,
Bawiłeś się w ciepłym lecie?
Dzień i noc wszystkim śpiewałem,
Wszakże cię tem nie gniewałem:
Mrówka rzecze, w letniej dobie,
Nućąc, teraz tańcuj sobie.

Kto weźmie w ręce La Fontaina, uzna, że trudno jest wierniej i z większą łatwością tłómaczyć, nie mało innych Bajek podobnież szczęśliwie jest przełożonych, szkoda, że Jakubowski nie zawsze miał na pamięci, iż łatwość i prostota w pisaniu, niepowinny się nigdy tykać z niedbalstwem. Nie raz rymy jego są zbyt jednostajne, zbyt powtarzane, zbyt pospolite. Zyczyć należy, by zdolna ręka zaniedbania te poprawiwszy, nową edycyą Bajek jego wydała, dawniejsza bowiem już jest wyczerpaną zupełnie.

Józef Minasowicz poprzedził jeszcze Jakubowskiego. Tłómaczenie jego Bajek Fedra i Gabriasa wyszło w Warszawie w 1756. r., mimo makaronizmów używanych nawet w rymach, jako to: furją, okazyą, repulsa zamiast odrzucenie lub wzgarda: czyściejszą jest polszczyzna jego, niżli ją znajdujemy w pisarzach z nim równoczesnych, niektóre Bajki zwięzłe i trafnie wydane; tłómaczył on wiernie Fedra, nie pozwalając sobie jak inni, a nawet La Fontaine, żadnych rozszerzań ni ozdób.

Minasowiczowi winniśmy przetłómaczenie Bajek Gabriasa, ten jakośmy wyżej powiedzieli, zadał sobie niezmierną i niepotrzebną pracę, w czterech lub pięciu wierszach pozamykać niektóre Bajki Ezopa i Fe-

dra. Udało się nieraz Minasowiczowi trudność tę szczęśliwie zwyciężyć, jak na przykład w tej bajce:

Oracz i Żmija.

Nosił długo w zanadrzu, oracz zmarzłą Żmiję,
Ta, gdy potem od ciepła powoli odżyje,
Żądłem dawcę swojego zabija żywota:
Tak zawsze dobrodziejstwa, odwdzięcza niecnota.

Bajki Naruszewicza mają prawdziwą zaletę: nie tyle w nich może, jak w Jakubowskim znajduje się niewinnej La Fontaina prostoty, lecz wiersz zawsze gładki, tok narodowy. Niektóre Bajki La Fontaina tłómaczyli razem Jakubowski i Naruszewicz, czytelnik łatwo dwa style porównać może. Pisał Naruszewicz Bajki własnego wynalazku, trafne i gładkie: by dać przykład sposobu pisania Poety tego, przytoczę małą wynalazku jego Bajeczkę.

Gil i Słowik.

Pan Gil z Słowikiem wszedłszy w przymierze,
W znajome lasy gdzieś tam wędrował:

Pierwszy miał cudne nad podziw pierze,
A drugi głosem wszystkich celował.

Ledwo co weszli do boru oba,
I spojrzeć niechce nikt na Słowika.

Wszyscy do Gila: to mi osoba,
A ten być nie wart za pacholika.

Lecz kiedy Słowik zaśpiewał czysto,
I wszyscy dali dank jego pieniu,

Zgasleś jak klecha przed organistą,
Mój Panie Gilu w krasnem odzieniu.

Małoż jest takich Gilów na świecie,
Których bez zasług odyma pycha,

Wielcy z pozoru tylko: a przecie
Habit, jak mówią, nie czyni Mnicha.

Szkoda, że Naruszewicz więcej Bajek nie pisał,
zostało nam ich tylko jedenaście.

Niedosyć u nas czytany, i ceniony Franciszek Dyonizy Książnin, urodził się z duchem prawdziwie rymotwórczym. Nie ma rodzaju Poezyi w którymby się Książnin nie próbował: do innych należeć będzie okazać zalety jego, ja go tylko jak Pisarza Bajek uważam.

Dwadzieścia i cztery *) Bajek zostawił nam Książnin, niektóre tłómaczone z obcych, niektóre własne, starał się on naturalność Fontena przelać w prawdziwie narodową prostotę. Niekiedy w wierszu jego są małe zaniedbania, czasem w wyrazach troche pospolity, lecz mówiąc ogólnie, gładki jest, czysty i bez przysady, jak na przykład w tej oryginalnej swej Bajce.

Pamfil i Niżnik.

Fortuna, jest to Bogini!

Kiedy dla kogo swój umizg uczyni:

Charłak, ubogi, może z lichej nędzy,

Przyjść do pieniędzy.

*) Dziś, nie dwadzieścia i cztery, ale pięćdziesiąt i sześć Bajek Książnina, jest nam znanych; w czasie gdy autor tę Rozprawę pisał, reszta rękopismów Książnina niebyła pewno jeszcze znajoma. P. IV.

W takowej myśli, raz ja po drodze
Do Marywilu na bilar wchodzę,
Rzucono na stół, mimo strach warty,

Lipskie pod stemplem karty.

W szlifowanego z sobą Maryasza

Jeden i drugi zaprasza:

Właśnie jam trzeci!

Po danej karcie żołądź zaświeci.

Hej! pożądany mnie się Pamfil dostał,

Uchowaj Boże! nikt jemu nie sprostął:

Bił króle, tuzy, a cóż wyżniki,

Tem bardziej jeszcze Niżniki:

Wygrał engi, wsie, urzędy,

Suknie, wstęgi, i rum wszędy.

Ale fortuna żartuje z swych dzieci;

Po chwili czerwień zaświeci.

Wyżnik żołędny jeszcze ma chęć szczerą,

Pierwszą być we grze kozyrą,

Ale już owo stracił

Pamfila władze:

Co był wziął komu, zapłacił;

Ku większej nawet zniewadze,

Bili go wzajem tuz, kralka, wyżnik,

Bije na koniec i Niżnik.

A toć, zawołał, sroga zbyt chwila!

Panie Niżniku, zkażde to waszeci?

A on mu: „kolem Fortuna leci:

Bije i Niżnik Pamfila,

Kiedy nie świeci.“

Jak w innych rodzajach Poezyi, tak i w pisaniu bajek, Książnin znakomitym jest rymotwórcą. Znałem go z bliska, żyłem z nim lat wiele, miał on czułość, bujność imaginacyi, zapał nieraz liryczny. Jak Śpiewak Jeruzolimy, Wieszecek nasz, w smutnem obłąkaniu zmysłów, dokonał życia swojego. Taż sama ręka J. O. Księcia Jmci Czartoryskiego G. Z. P. która go w pogodnych czasach wspierała, nieprzestała do ostatniej chwili osładzać nieszczęścia jego.

Równoczesnym powyższych Pisarzy, lecz wyższym od nich w talencie pisania Bajek, był Krasicki Biskup Warmiński: miał on w tym rodzaju własny swój sposób, własny swój styl, więcej on naśladował zwięzłości Fedra, niż ozdoby i rozszerzenia Fontaina, zwięzły, gładki, wesoły, a nadewszystko dowcipny, rymowanie i krój wiersza zupełnie rodzajowi temu poezyi przyzwoite. Wieleby się przyszło rozwodzić, gdybyśmy chcieli przykładami wartość i zalety Krasickiego dowodzić, jest w ręku wszystkich i wszystkim znany. Wiele Bajek Krasickiego płytkim Satyry zaostrzonych jest grotem, niektóre wcale są Epigramatyczne, jak następująca:

Malarze.

Dwaj Portretów malarze słynęli przed laty,
Piotr dobry, a ubogi: Jan zły, a bogaty.

Piotr malował wybornie, a głód go uciskał:
Jan mało i źle robił, przecież więcej zyskał.

Dla czegoż los tak różny mieli ci malarze?
Piotr malował podobne; Jan piękniejsze twarze.

Niekiedy Bajki Krasickiego, nie mają własności przepisanych temu rodzajowi Poezyi, jak naprzykład Bajka

Skowronek.

W czasy gorące

Na łące,

Pasły się spółem

Osiół z wołem:

Tamten chrustem, a ten trawą;

A pomiędzy murawą,

Tam gdzie kwiaty i ziółka,

Pszczółka.

Chwytający motylki, zbierając robaczki,

Bujał skowronek nad krzaczki.

Na jednej łące wszystko się działo.

Pszczółka brzęcząc w ul niesła zdobycz okazałą,

Chwast z trawą to użyzał;

Osiół beczał, wół ryczał.

Skowronek wzbijając się czule i radośnie,

Dawał wdzięk wiosnie.

W rodzaju takiej poezyi nic wdzięczniejszego napotkać nie można: gładkość, naturalność, przyjemność, wszystko się w tych rymach znajduje: lecz gdzież jest akcja, gdzie potrzebna w Apollogu dramatyczność? Jest to świeży obraz wiosny, lecz nie jest Bajka. Inaczej, wielu Anakreonta poezyom równem prawem tytuł ten nadaćby można. Są którzy mniemają, że późniejsze Bajki Krasickiego, nie są tak wyborne jak pierwsze. Jakkolwiek bądź, Krasicki jest u nas dotąd najpierwszym z Pisarzy.

Bajki Walentego Górskiego, Gawdzickiego mają swoje zalety; pisał je także Wincenty Kamieński.

Załowac wielce należy, że Ludwik Kropiński jak wiele wybornych innych dzieł swoich, tak też i Bajek, dotąd publiczności udzielić wzbrania się. Morawski jak w poezyi lirycznej, tak i w Bajkach piękny i niepospolity talent okazał. J. Lipiński, A. Gorecki, pierwszy Bajkami w rodzaju Elegji, drugi w rodzaju lekkim i gładkim znakomicie już znani. Długo byłoby wielu innych wyliczać. Nie masz podobno rodzaju poezyi, którego by się tak chciwie wierszopisowie nasi chwyтали: niektórych prawdziwy talent prowadzi, inni uwiedzeni mniemaną Bajki łatwością, mieniać, że w godzinie napisawszy Bajeczkę, i dawszy ją do dziennika, już się głośniami w świecie literackim uczynią, często nieopatrzni puszczają się w podróż.

Karol Tetmeyer wydał w Krakowie 100 bajek, często zwięzłość, tok Krasickiego, szczęśliwie naśladował. Winniśmy JPanu Jarockiemu dobre tłumaczenie bajek Lessinga.

Powiedziawszy o porządku, dawności, o pisarzach którzy w rozmaitych narodach wsławili się Bajek pisanie; przystąpmy do tego co pierwszym jest rozprawy dzisiejszej przedmiotem, przejdźmy od pisarzy Bajek do samej Bajki.

DEFINICYA BAJKI.

Różnie przez różnych oznaczoną była Definicja Bajki. Lessing który anatomicznie, iż tak rzekę, rozebrał tego rodzaju poezye w uwagach swoich, zbyt

metafizyczną daje definicyą Apollogu. Inny Autor niemiecki jaśniej go i zwięźlej oznaczył. Bajka, mówi on, jest zwierciadłem obyczajów dla ludzi. La Fontaine mówiąc o zbiorze Bajek, tak go nazwał:

Une ample comédie a cent Actes divers,
Et dont la scène est l'univers.

Co takby można po polsku przełożyć:

Wielkie, obszerne Drama w sto aktach i więcej
W nim świat sceną, aktorem cały ród zwierzęcy.

Jakoż w rzeczy samej Apollog jest pewnym rodzajem Drama, ma on swoje wyłożenie, swój węzeł i rozwinięcie. Czyli w Bajce aktorami są zwierzęta, drzewa, ludzie, bogowie, należy zawsze by mi powiedzieli o co rzecz idzie, by mnie interesowali do sytuacji i wypadku jakiego, by przy końcu zostawili we mnie jakieś zadowolenie, czy z samego wypadku, czyli choć z jednego słowa wynikającego z moralności tego, co było powiedzianem lub uczynionem. W najlepszych Bajkach Lafontena przepis ten zachowanym jest wiernie.

DLACZEGO ZWIERZĘTA OBRANE SĄ ZA AKTORÓW BAJKI?

Zwierzęta dogodne są Fabuliście przez to, że instynktem zbliżają się do człowieka, że mają w sobie passye, własności, skłonności nasze, nadewszystko, że charaktery w świecie zwierzęcym już są oznaczone, przyjęte i nieodmienne, nie tak jak w zmiennych lu-

dziach. U tych podług czasu, okoliczności, potrzeby, jeden człowiek jest takim, a drugi innym; przeciwnie w zwierzętach, każdy tygrys jest zawsze drapieżnym, każdy wilk jest żarłocznym, każdy lis jest chytrym, a tak piszący biorąc które z tych zwierząt, za czynnika swej Bajki, z wymienieniem indywidua, już i charakter jego oznacza. Powinnością jest autora zachować te raz nadane charaktery, i tyle tylko zwierzęta zbliżać do sfery ludzkiej, by się w nich człowiek łatwo mógł poznać.

Prócz zwierząt, piszący Bajki, mogą za narzędzia Apollogu i inne twory wybierać, czyli to z rodzaju roślin n. p. dąb i trzcina, czyli nawet z nieżyjących rzeczy jak n. p. garnek żelazny i gliniany. W każdym atoli przypadku wybrane czynniki, dążyć powinny do okazania moralności jasnej i czystej.

CO JEST ZASADĄ BAJKI.

Prawda jest pierwszą Bajki zasadą, powinna ona zawsze być moralną, to jest pożyteczną człowiekowi w czynach i biegu życia jego; Bajka jest ukrytą filozofią która bawi żeby nauczać, i która tem lepiej naucza im więcej bawi. Zbiór fikcyi czyli zmyśleń złożony w tym widoku, dalby nam traktat moralności lepszy może nad metodyczne i głębokie w tej mierze dzieła. Sokrates zamyslał ułożyć podobny kurs moralności, ożywić go śmiejącemi się obrazami, obrazami których przyjemność łatwiejszą do wpojenia czyniłaby naukę: zamiar ten godnym był tak cnotliwego męża.

Znaczenie i sens moralny Bajki, nie powinny być ciemne ani też zbyt daleko szukane, nadto pogardzać

powinien Fabulista każdą zbyt już obeznaną prawdą i moralnością n. p. gdyby kto bajkę napisał w tym jedynie celu żeby dowieść, iż każdy człowiek umrzeć musi, albo jak ten Apollog niemiecki, którego treścią jest, że dziecko zjadło jabłko zielone i zachorowało na brzuch zkąd Poeta tę głęboką moralność wywodzi, że nie należy jeść niedojrzałych owoców. Tak błących prawd i podobnych śmieszności, niech się każdy Fabulista wystrzega.

Najlepiej gdy Apollog tak jest jasnym, iż sam z sobą niesie sens moralny, ani potrzebuje, by go osobno wysławiać. Ze jednak Bajki piszą się dla wszystkich, dla więcej i mniej przenikłych, trafniej jest zawsze sens moralny położyć na końcu. Kładąc go bowiem na wstępie, już przez to zdzierasz zasłonę allegoryi, odejmujesz czytelnikowi zadowolenie przeniknięcia samemu sensu twej Bajki, obrażasz go nawet mniemaniem, żeś go nie sądził zdolnym zgadnięcia zamiaru twego; przeciwnie czytelnik przebiegając twą powieść, rad będzie gdy z myślą twą spotka się przy końcu, nie rozgniewa się nawet, gdy mu coś więcej odkryjesz niżli on wiedział.

PODZIAŁ BAJEK.

Bajki podzielićby można na teoryczne czerpane w ogólnym porządku natury, jakimi są Bajki Ezopa, i na Bajki dowcipne w których, iż tak rzekę, drugiego rzędu prawdy lub krytyka subtelniejszych wad odkrywa się i karci. Do tych przydaćby można i trzeci rodzaj, to jest Bajek Epigramatycznych.

RÓŻNICĄ FABULISTÓW DZISIEJSZYCH OD
DAWNYCH.

Wykwintność czasu wszystkiemu odbiera powagę i siłę, i tak z mistrzyni natury, z nauczycielki ludzi, Bajka stała się grzeczną szczebiotnicą. La Fontaine niewinnie stał się tego przyczyną. Zrodzony z dowcipem i naiwnością jakich natura nieudziela innym, opowiadał Bajki Ezopa swoim własnym sposobem, a że sposób ten był pełen przyjemności i wdzięków, podobał się powszechnie, wszyscy naśladować go usiłowali, nieważając, że mierny talent łatwiej przesadzi metę, niż trafi do niej: w niezręcznych rękach naiwność Lafontena stała się płaską, a wesołość ekliwem nieraz trefnietwem. Pójdźmy tylko do niektórych zbiorów Bajek dzisiejszych, cóż w nich częstokroć (jak Herder uważa) znajdziemy. Oto perukę rozmawiającą z fontaziem, zwierciadło z wachlarzem, igłę z nożyczkami; a tak Bajka przeznaczona, by była mistrzynią prawd oczywistych i zbawiennych, nieraz staje się czezą dla próżniaków zabawą, gdzie nie moralność ale błyskota dowcipu i kilka rozmów szczęśliwych całą jej składa wartość.

Wyznać atoli należy, że jak w komedyi wszystkie uderzające charaktery, tak i w Bajce oczywiste i bijące w oczy prawdy i z nich wypływające nauki, już przez dawniejszych chwycone, i wystawione zostały; nadto różnica wieków, różnica stanu, społeczeństwa, poloru, obyczajów narodów dzisiejszych i starodawnych, przynieść także musiała odmianę w postrzeżeniach moralistów i nauce, którą dawają. Wielka jest

różnica między człowiekiem za czasów Ezopa, a człowiekiem dzisiejszego społeczeństwa. W pierwszych wiekach wady ludzkie były jawniejsze i bardziej bijące w oczy, łatwe do postrzeżenia i łatwe do karzenia, gromiła je surowa moralność bez względu na drażnienie miłości własnej, mniej nierównie jak dzisiaj łechliwiej; ale kiedy powszechna w wychowaniu ogłoda, drażliwsza miłość własna, bojaźń nie wady, nie występkę nawet, ale śmieszności, rzuciły na przywary ludzkie zasłonę ręką dyssymulacyi utkaną, gdy już nie jawne nieprawości ale szkodliwsze może, nowo stworzone przywary, moralista odsłaniać musi, w sposobie w którym je odsłania, gromi, poprawia, zmagłym widzi się używać nie już prostoty dawnego Apollonu, lecz więcej zbliżających się do smaku i tonu czasu swego i oręża i toku.

Możnaby atoli i dzisiaj powrócić Bajkę do dawnej surowości i prostoty, czerpając w naturze nieziennej nigdy, biorąc za cel powieści, nie błyszczące koncepta, lecz zdrową moralność, pożyteczne prawdy.

O PRAWIDŁACH I STYLU BAJCE WŁAŚCIWYCH.

Zostaje nam mówić o najważniejszych w tej rozprawie przedmiotach, to jest: o prawidłach Bajki i stylu, jakim powinna być pisana. Ze wszystkich rodzajów poetyki najtrudniej jest przepisać prawidła Bajki, przepisy nawet nie wiele pomódz mogą talentom. Trzeba, jak powiadał Floryan, pisać Bajki przez jakiś wrodzony instynkt, z jakim n. p. Jaskółka buduje swoje gniazdo, lecz instynkt ten powinien być

trafny, nie mylny, gdyż i Wróbel buduje gniazdo, ale bardzo niedbale i nie gładko.

Przecież w krótkości powiedzieć można, że trafność, lekkość, pierwszemi są Bajki zaletami: ton Bajki podług natury swojej powinien być gładki, żartobliwy, rzadko posępny; ton epigramatyczny podnosi istotę Bajki, która przezeń zupełnie staje się Epigramatem. Niemcy celują w tym rodzaju.

Smiele powiedzieć można, iż największa zaleta Bajki zależy na stylu: tak dalece, iż szczęśliwie nawet wynaleziony obejm, mniej się podoba, i prędzej znudzi, niż rzecz mniej szczęśliwa w swej treści, lecz wystawiona powabnie i wdzięcznie. Styl w Bajce powinien być zawsze stosowny do rzeczy, najprzyzwoitszym jest styl potoczny, jednakże z rodzajem powieści i naturą aktorów może się wznosić i do szczytności nawet, i znowu zniżać do pospolitej mowy.

Niech prostota, naiwność, nadewszystko wesołość prowadzą pióro pisarza. Powtarzam raz jeszcze, styl i opowiadanie jest wszystkim. Wyrzucają Lafontenowi, że on nic niewynalazł nowego, gdyż wszystkie prawie Bajki jego, są naśladowane od drugich, z tem wszystkim, wynalazł on wiele: wynalazł sposób opowiadania Bajek, i wynalazek ten, jemu jednemu został się. Zdaje się, że natura utworzyła Lafontena do tego rodzaju poezyi: wrodzona w nim dobroć i trafność rozsądku, malują się wszędzie, nikt, mówi la Harpe, nie jest wyższym nad to, co zowiem dowcipem. Posiadał on, dar szczęśliwszy nierównie, sztukę interesowania drugich do tego co opowiada, a to jedynie

z tej przyczyny, że sam zdaje się tak szczerze interesować do swej powieści; przez to, illuzję w której zostaje przenosi do drugih. Czytającemu Bajki Fontena zdaje się, że on żył z zwierzętami, że się stał ich współobywatelem, ich przyjacielem, ich powiernikiem. On to ustanowił pomiędzy nimi królestwa, rzeczywospolite, utworzył nam świat moralniejszy od świata Platona. Wśród świata tego mieszka ustawnie, ustanowił on między zwierzętami, dostojenstwa i stopnie, dla których ma wielkie uszanowanie, i od których nie oddala się nigdy: wszystko on przeniósł wśród zwierząt: moralność, czucia, nasze zwyczaje, prawa, namiętności; wszędzie widać w nim wysoki rozsądek, dowcip prosty, naturalny, w opowiadaniu zawsze trafny, nieraz nawet przenikły.

O POŻYTKACH BAJEK.

Nigdy najsilniejsza wymowa chlubniejszego nie odnosiła tryumfu nad ten, któren odnosił Apollog wymysłony do okoliczności, i powiedziany trafnie. Ateńczykowie szemrali na samowładność Pizystrata. Przyszedł Ezop i powiedział im Bajkę o żabach proszących o króla, niekontentych z martwej belki i później otrzymujących żarłocznego bociana. Odszedł lud upamiętany, bo z Bajki tej poznał, że choć samowładny, ale łagodny rząd Pizystrata lepszym był do zniesienia, niż ten, co mógł po nim nastąpić. W Rzymie lud uciśniony długami i pracą, zbuntował się przeciw szlachcie, i wyszedł z Rzymu. Udał się do zniechęconych Meneniusz Agrippa, i sławną Bajką o żołądku i innych

członkach ciała ludzkiego, przekonał umysły, odwrócił szkodliwe gwałty, i lud do spokojnego powrotu do miasta nakłonił. W dzieciństwie Bajki dają nam pierwsze moralności pojęcie. Ileżkroć i w wielkich świata wypadkach nie przychodzi nam na pamięć Bajka Wilka i Jagnięcia, lub Lwa dzielącego się zdobyczą z pomocnikami łowów. To tylko szkoda, że piękne te Bajki niepoprawiły ni lwów ni wilków, że mimo wszelkich usiłowań Ezopa, zwierzęta te są takimi dzisiaj, jakimi były za czasów jego.

Pzecież dzieje wschodnich narodów uczą nas, że i okrutni zdobywcy upamiętywali się nieraz, trafnie pod zasłoną allegoryi, powiedzianą im prawdą, dowodem Apollog umieszczony w tym zbiorze pod tytułem: Sułtan i Wezyr.

Nie radzę atoli Fabulistom, wybierać się do Sułtanów z allegoryami swemi, nie zawsze znajdą tak powołnych, jakim był Muchamed, więcej i owszem lękać się należy, by drażliwy jaki Sułtan nie dał uczuć poecie sensu moralnego, w sposób nie bardzo może przyjemny.

B A J K I.

KSIĘGA PIERWSZA.

1 2 3 4 5

EXHIBIT 10

B A J K I.

K S I Ę G A P I E R W S Z A.

PRZEMOWA DO BAJEK.

B A J K A I.

Oryginalna.

Suczka z Szczeniętami.

Niejeden może zapyta :

Czemu Suczka z Szczeniętami,

Pomiędzy temi bajkami,

Czytelnika naprzód wita?

Jest pomyślenie nowe,

Obrać suczkę za przemowę!

Niech i tak będzie, lecz wraz wytłómaczy

Następna bajka, co to wszystko znaczy.

Z jedwabnym włosem, kudłata,

Na piersiach nieco srokata,

Suczka nie wielka, lecz ładna,
W każdym ruchu dziwnie składna,
Troje szczeniątek powiła,
A dobra matka sama je karmiła;
Rodzicielskiem uprzedzeniem,
Nad swem kochanem plemieniem,
W najlepszej wierze mniemała,
Ze żadna suka gładka czy kudłata,
Na całym okręgu świata,
Podobnych szczeniąt nie miała.
I cóż są, rzecze, dzieci tej mopsicy,
Tej mucki, tej tam taksicy;
A nawet ów Bażik szary,
Przy moich, czyste poczwary.
Tak choć maleńkie szczenięta,
Już matka przyszłym losem ich zajęta,
Cuda świata w nich widziała;
Nieraz tak sobie dumiała:
Płowy, z ogonkiem okrytem,
Pierwszym u Księżny będzie faworytem:
Ten co do góry ma uszko,
Z piękną Zemirą dzielić będzie łóżko,
Ona to miłość przysięgłą mężowi,
Odda małemu pieskowi!
Nakoniec, ów maleńki, ów luby buffonek,
Co zadarłszy swój ogonek,
Na grzbiet mój łapki zakłada,
Wielki gieniusz zapowiada,
On przy ministrze na dworze,
Łaskami będzie szafować,

Jego Panowie w pokorze,
Chcący urzędów,
Lub jakich względów,
W dwie łapki będą całować.
Kiedy przez słodkie marzenia,
Pocziwa suczka daje się uwodzić,
Los co tak ludzkie, jak i psie stworzenia
W nadziejach lubi zawodzić,
Ukarł psiny duch nazbyt wyniosły;
Bo te szczenięta, co dojrzałą dobą,
Psiego rodzaju miały być ozdobą,
Na wielkich łotrów porosły.
Ten co dla Księżny był już przeznaczony,
Zepsuty, i znarowiony,
W brudnych zalotach, a nawet nieskrycie,
Na ulicach pędził życie;
Drugi co miał być Zemiry pieścidle,
Do pola poszedł za bydłem;
Nawet ów gieniusz rzadki, zawołany,
Co miał górować nad dworskimi pany:
Przez niesłychane zrządzenie,
U Bernardynów obracał pieczenie.
Co się tej suczce stało z szczeniętami,
Mnie się stać może z mojemi bajkami:
Ojca wiedzion omamieniem,
Gdy patrzę na nie z czułem rozrzewnieniem,
Pochlebiam sobie, że biedna chudoba,
Może się komu podoba,
Niepomny (choć tyłu zawodów już świadek),
Ze gdy w marzeniu chwala, na jawie upadek.



Pomimo tego, szczerze mi się zdaje,
Ze zbiór tych bajek nikogo niełaje,
Ze w nich moralność jest zdrowa,
Bardziej wesola, niżeli surowa:
Gdy ja tak widzę, Zoil co nie błądzi,
Przeciwnie zbiór ten osądzi:
Przenikłość jego daleka,
W Baranie moim upatrzy człowieka,
Kto wie? w indyczkach córki ulubione,
W kokoszy własną swą żonę;
A może nawet w dowód przywiązania,
W swych usługach dziwnie miły,
Znajdzie przystosowania,
Co mi się nigdy nie śniły.
Cóż robić, kto się puszcza w podobne zawody,
Poddać się musi na wszystkie przygody,
Słuchać z wdzięcznością, to co z doświadczenia,
Biegli mężowie doradzą,
A nawet pustych trzpiotów postrzeżenia,
Przyjąć z pokorą, bo i te się zdadzą.
Słowem, na wszystko złe się przygotować,
Trwać w przedsięwzięciu, cierpieć i pracować.
Ja to dopełniam, i książeczkę małą,
Gdy się napiera z drzeniem i nieśmiało,
Wypuszczam na przestrzeń świata,
Niech sobie łązi, alboliteż lata:
Jeśli się sparzy, na mnie niechaj nie narzeka,
Osim lat ostrzegałem, jaki los ją czeka;
Siedź lepiej w tece, mówiłem jej często,
Groty złośliwych, latają zbyt gęsto.



Wieszże coć czeka, gdy u Zawadzkiego,
Siądziesz na pulce w tyle Krasickiego;
Przyjdzie Literat, lub co się nim mieni,
Przejrzy kart kilka, włoży do kieszeni:
Czytając z przyjaciółmi, przy dobrym kielichu,
Choć cię głośno pochwali, ugryzie pocichu:
Może też i z powiatu szlachciec dalekiego,
Weźmie cię, by do domu coś zawieźć nowego.
Przeczyta żonie, córkom, synowi lubemu,
Pożyczy sąsiadowi, ten znowu drugiemu:
Ten swemu kuzynowi, kuzyn synowicom,
Synowice stryjowi, a stryj pasierzbiom:
Tak z rąk do rąk przechodząc, aż w końcu podróży,
Gdy nieszczęsna książeczka, już wszystkim usłuży,
Dzieci podrą obrazki, i kartkę niejedną,
Przeniesiesz się w przedpokój między czeladź biedną,
Tam przy łojowej świeczce, gdy wkoło osiedą,
Lokaje cię po słówku ślabizować będą:
Aż gdy cię dobrze podrą, i dobrze zatłuszcza,
Gdzieś tam między sienniki do szlabanu wpuszczą:
W nim myszy, mszcząc się tyle zwierząt obmówionych,
Z kart twych, uścielą gniazda dla dzieci pieszczonych.
Taki będzie twój koniec: lecz radom mym sprzecznie,
Nieprzestajesz się na świat wyrywać koniecznie:
Idź więc, ja już w odwieczną zbliżając się ciszę:
Ni twych pochwał, ni licznych nagan nie usłyszę.

Dnia 2. Października 1816.

BAJKA II.

*Oryginalna.***Dwa Woły.**

Troskliwy rolnik, o swe urodzaje,
 Zaledwie postrzegł, że śnieg z pola taje,
 I wiosna pierwszą zieloność odkrywa,
 Z zamknięcia pług swój skwapliwie dobywa,
 A na posiłek wychyliwszy czarę,
 Pod jedno jarzmo zaprzągnął Juńców parę;
 Lecz gdy je łączył, mało na to baczny,
 Czyli ten wybór był sobie dogodny,
 Czyli jak bywa na świecie dziwaczny,
 Jeden wół krnąbrny, a drugi łagodny;
 On im uprawiać kazał twardą rolę:
 I cóż się stało? woły wśród roboty,
 Sprzeczne w skłonnościach, sprzeczną miały wolę,
 Ustawne sobie wyrządzały psoty:
 Gdy jeden cofał, drugi ciągnął żwawo,
 Gdy ten na lewo, ów targał na prawo.
 Tłukły się łbami, wierzgały kopyty,
 A zaten upor i zwłoki,
 Często oracz nieużyty,
 Niemilosiecznie biczem chłostał boki.
 Żał patrzeć co cierpiała para nieszczęśliwa;
 Gdy niedaleko sroka szczebiotliwa,

Skacząc z bryły, na bryłę za małym robakiem,
Dobrze znajoma z bydłem, nawet i z wieśniakiem,
Sroka, co wiemy że gada,

I nieraz gości przyjazd zapowiada,
Tak do niesfornych odzywa się wołów:
„Naco wam tyle przyda się mozołów,
„Tak wiele chłosty, i wierzgania tyle,
„Gdyście przez wszystkie życia tego chwile,
„Skazani może, o stworzenia biedne!
„Pracować razem, dźwigać jarzmo jedne;
„Nie jestże lepiej, porzuciwszy swary,
„W zgodzie ponosić wspólne wam ciężary,
„Poddać się losom, bo to myśli, próżna,
„Chcieć zmienić, czego odmienić nie można.“

Wy co w goryczach jarzmo dźwigacie małżeństwa,
Uczcie się cierpliwości z tego podobieństwa:
Czy los ślepy, czyli też nadzieje zawodne,
Połączą wiecznym związkiem humory niezgodne,
I plug życia rozkażą ciągnąć obok siebie,
Umiejcie ciężkiej ulegać potrzebie.

Rozwód niesie zakałę, kłótnie trują życie;
Lepiej strzedz się zgorszenia, i ponosić skrycie.

Dnia 16. Marca 1806. w Ameryce.

B A D A N I A III.

*Oryginalna.***Kozioł i Orzeł.**

Tchnącego męża zgłębieniem natury,
 Jakież wstrzymają przeszkody!
 Ni sroga przepaść, ni wyniosłe góry,
 Ni zebranych nurtów wody.
 Czy dzikie puszcze przebywa,
 Wśród ciężkich trudów ochoczy,
 I tam przedmioty odkrywa,
 Co wstrzymują cheiwe oczy:
 Lśknący kruszec, kamień czarny;
 Motyl co za różą leci,
 I robaczek nawet marny,
 Gdy się w spruchłym drzewie świeci;
 Krzewy co ledwie od ziemi się wznoszą,
 Skropione deszczem wilgotnym,
 Wszystko dla niego nauką, roskoszą,
 I nigdy nie jest samotnym.
 Taki to badacz natury,
 Gdy Karpackie zwiedzał góry,
 A depcąc twardych granitów opokę,
 Wdarł się na szczyty wysokie,
 Gdzie wszelka płodność ustaje;
 Lecz zawał śniegu co nigdy nie taje,

A pod nogami daleko,
Rzadkich chmur pasma się wleka,
Wszędy czczość i spustoszenie,
I przeraźliwe milczenie.
Przejęty trwogą gdy mędrzec rozważa,
I skał ostrych mierzy szyki,
Świst go okropny przeraża,
Ogląda się . . . Koziół dziki,
Nieścignionym pędem dąży,
Do ukrytych jaskiń w górach,
Nad nim w powietrznych lazurach,
Na rozciągniętych skrzydłach Orzeł krąży;
Byстрым wzrokiem wiodąc wszędy,
Dziarskiego Kozła zapędy;
Alić jak piorun co rani gdy błyska,
Raptownym szybem się ciska,
I z całej mocy uderza,
Na sadzącego srogą przepaść zwierza,
Wpaja weń drapieżne szpony,
Wiedząc, że w świetle moc cała obrony
Skrzywionym dziobem wydiera mu oczy,
Kiedy zwierz we krwi się broczy,
I ciężkim bolem dręczony,
Zwija się we wszystkie strony,
Rażąc powietrze swym krzykiem,
W srogiej walce z napastnikiem,
Ślepy niewiedząc jak począć w potrzebie,
Kędy zbawienie albo śmierć grożąca,
Stacza się w przepaść, i Orła, i siebie
O ostre skały roztrąca.

W tej Bajce prawda jest na dnie,
Prawda widoczna i szczerą :
Ten Orzeł Kozła, chcąc pokonać snadnie,
Kiedy mu oczy wydziera,
Tych przypomina, co w dumnej powadze,
Na głupstwie ludu gruntują swą władzę :
Pielęgnować uprzedzenia,
Bronić nauk, oświecenia,
Znieść wolność druku, sposób niewątpliwy,
Lud osiadłać nieszczęśliwy ;
Lecz cóż się można po ciemnym narodzie,
Spodziewać w ciężkiej przygodzie,
Nierozeznany, ślepy w każdym czynie,
Łatwo z swym wodzem zaginie.

Dnia 27. Grudnia 1807. w Warszawie.

B A J K A IV.

*Oryginalna.***Dąb i Bluszez.**

W zachodniej części mniej znanego kraju,
W pośród ciemnego gaju,
Kędy po zwirach mruczał strumień czysty,
Stał Dąb ogromny, dawny, rozłożysty:
Ziemie korzeniami głęboko przenikał,
A czołem niebios dotykał.
Pod jego cieniem Fiałek wstydlivy,
Żył nieznany i szczęśliwy,
Na łasce wielkich szczęścia niezakładał,
Wzniósł się, zakwitł, i opadał.
Nie takim był Bluszez poziomy,
Co się w blizkiem bagnie zrodził,
Podły, chytry, i łakomy,
Nisko się czołgał lecz wysoko godził . . .
Bo widząc Dąb ów wspaniały,
Wraz sobie zamysł uknował zuchwały,
Za jego wsparciem z poziomego krzewu,
Stać się podobnym wyniosłemu drzewu;
W tej myśli pewną drogą postępował,
To jest: pochlebstwem i sztucznym układem,
Czołgał się z wolna, niskim zbliżał śladem,
I nóżki pańskie całował.

Dąb pyszny, widząc nikczemne stworzenie,
Czołgające się po ziemi,
„Rzekł mu (nie znając co jest podejrzenie)
„Chwyć się rączkami twojemi,
„Obok mego pnia i kory,
„Jest to dla wielkich roskoszą,
„Gdy mali przez nich się wznoszą . . .“
Bluszcz na rozkazy tak przyjemne skory,
Skromnie się wznosi i w koło obwija,
A widząc, że mu wiatr pomyślny sprzyja,
Im wczoraj czołgał się niżej,
Tym pnie się dzisiaj, i wyżej, i wyżej,
I Panu szepce do ucha.
Dziwi się puszcza głucha,
Jak nędznik Dębu karmiący się soki,
Tuczy się, i już cały tłusty i wysoki;
Bluszcz jednak baczny, by nie wyszła zdrada,
Przed całym światem powiada,
Że za pański interes i jawnie, i skrycie,
Gotów poświęcić i krew swą i życie.
Lecz kiedy temi pochlebstwy urąga,
Obfite soki, i żywe wilgocie,
Przez które okazały Dąb przeżył lat krocie,
Ssie bez litości, i do siebie wciąga.
Tak dalece że kiedy krzewina wprzód licha,
Silnie się wzmaga, i wzrasta zamożnie;
Dąb co mu w wszystkim ufał nieostrożnie,
Tucząc pijawkę sam biedny usycha,
I tę naukę zostawia po sobie:
„Jeżeliś wielkim i w zamożnej dobie,

„Wspierać nieszczęsnych miej sobie za chlubę,
„Ale zradnego strzeż się zausznika,
„Co na twoją dąży zgubę;
„Twe dobro, jego nigdy niedotyka,
„Wszystko pochlebstwy na tobie wymusi,
„Sam się wyniesie, lecz ciebie udusi.

3. Maja 1806. w Eliz. Town.



B A J E A V.*Oryginalna.***Pierścień.**

Kiedy Fortuna wzbije cię wysoko,
I w górze wzniesiesz swe czoło,
Miejże na ówczas czujne na to oko,
Jak się otoczysz w około.
Bo jeżeli gmin sług, przez twój wybór własny,
Będzie i płochym i ciemnym,
Ujmie twej cenie, stłumi blask twój jasny,
I sam się staniesz nikiemnym.
Żyd jeden, znany po Jarmarkach wielkich,
W Lipsku, Frankforcie, i Dubnie i Lwowie,
Biegły w szalbierstwach i konszaktach wszelkich,
Dostał Dyament, ale co się zowie,
Prześliczny, i pierwszej wody:
Jakie to były dla Josiela gody,
Na widok jego, blasku i wielkości,
Nieposiadał się z radości.
Lecz jak to bywa pomiędzy żydami,
Co nieraz psują, kiedy chcą poprawić,
Kazał ten kamień w pierścioneńk oprawić,
I nikiemnymi otoczyć rautami:
I coś się stało, gdy go chciał sprzedawać,
Połowy ceny nikt mu niechciał dawać,

Kup Waś, żyd mówił w ułożonej minie,
Księżnie Jejmości, lub Pani Hrabinie,
To pierścień śliczny, cudny niesłychany:
Cóż ja z nim pocznę mój żydku kochany,
Mówiła każda: jabym tej brzydoty,
Choćbyś mi dawał za czerwony złoty,
Niechciała nosić; średni kamień ładny,
Ale sam patrzaj jak obwód szkaradny,
Rząd rautów wszystko i szpeci i kryje,
Ni to na głowę ani też na szyję.
Chociaż odprawian często nieprzyjemnie,
Żyd łaził wszędy, lecz wszędy daremnie,
Nakoniec widząc, że przez otoczenie,
Pierścienia swego sam zaszkodził cenie,
Okolne rauty za okno wyrzucił,
Zbył kamień, i koszt we trzykroć powrócił.

13. *Stycznia* 1808.

B A J K A VI.*Oryginalna.***Kura i Kaczęta.**

Choć swym Kogutem zajęta,
 Wylęgle przez się Kaczęta,
 Nad stawem wodziła Kura
 Mniej na cudze baczna płody:
 A że Kacząt jest natura,
 Z maleńkiego iść do wody,
 Uczyniwszy szereg długi,
 Chyląc się w ten bok i drugi,
 Szły na przestrzeń głęboką;
 Nic nie zważając, że paszczą szeroką
 Sum okrutny siedząc na dnie,
 Mógł kilkoro połknąć snadnie;
 Że czepy sterczące w górę,
 Mogły na wskrós przebić które;
 Ze w koło przygód bez liku:
 To widząc pliszka na małym kamyku
 Stojąc, kiwając główką i ogonkiem,
 Dybiąc za muchą, lub wodnym pajakiem,
 Gdy je koleją porywa,
 Tak się do Kacząt odzywa:
 „Śliczna też to wasza mama,
 „Bawiąc się z Kogutem sama,

„Nic niedba o wasze zdrowie,
„Jak też być może tak płocha!“
Jedno jej z Kacząt odpowie:
„To tylko nasza macocha.“

11. *Grudnia* 1808.



BAJKA VII.

*Naśladowana z Floryana.***Dwóch Ogrodników.**

Dwóch braci Ogrodników w dziedzictwie dostało,
 Ogród, sad piękny, i zagrodę małą.
 Ścisłej przyjaźni będący obrazem,
 Gospodarowali razem.

Jeden z nich Błażej, dowcipny, wymowny,
 Czytając, patrząc w niebo, więcej niż w zagrodę,
 Samemu Duńczeskiemu, sądził się być równy,

I przepowiadał słoty i pogodę:

Wkrótce podnosząc swój gieniusz w górę,

Chciał poznać rzeczy naturę,

Znać jak z grochu jednego, co robak uszkodzi,

Tysiąc się grochów urodzi;

Dla czego ziarno topoli,

Wydając drzewo wielkie, mniejsze jest atoli,

Jak ten bób, co na stopę od ziemi umiera:

Dlaczego bób ten, w mały rzucon dołek,

Obraca się, do góry podnosi wierzchołek,

A w ziemi liczny korzeń rozpościera.

Kiedy się trapi, i dużo zdumiewa,

Że dociec takich tajemnic niemoże,

Wszystko zapomniał, i nie niepolewa,

Poschły nietylko jasminy i róże,

Lecz na nieszczęście w śród suchego lata,
Jarmusz, szpinak, i sałata,
Śliwki, maliny, i wiśnie;
Nie było co nieść na targ, nie było pieniędzy,
A mędrzec ucząc się pysznie,
Czytając w kalendarzu, obaczył się w nędzy.
Jedna ucieczka w bracie pozostała:
Ten skoro biała zorza zajaśniała,
Ropał, polewał, śpiewając wesoło,
Od brzoskwiń aż do szczawiu, wszystko obszedł w koło
Co nieznał, niechciał głęboko w tem szperać,
Ale siał prosto, żeby potem zbierać,
Jakoż mu wszystko rodziło się cudnie,
Miał grosz, owoce, i czas szedł nie nudnie;
A gdy Pan Błażej, z miną dość nieśmiałą,
Pytał, dlaczego tak mu się udało?
Brat na to: choć mię nauką przeważasz,
Przecież ci cały sekret mój odkrywam:
Ja pracuję, ty rozważasz
W pośród książek twoich tłumu,
Ty się męczysz, ja używam,
Rtóż z nas ma więcej rozumu?

20. Sierpnia 1808. w Wilanowie.

BAJKA VIII.*Oryginalna.***Róża i Flaszeczka.**

Na gotowalni Ismeny
Stały piękności narzędzia,
Puszki, nalewki, bez ceny,
Grzebienie, kutas z łabędzia,
W pośrodku przyjaciel drogi,
Czasem słodki, nie raz srogi,
Ten co ją jeden, widział z rana zbladłą,
Stało zwierciadło.
Przy gotowalni, i puszkach bez liku,
Obok na małym stoliku,
Niewiem po lewej, czy po prawej stronie,
W porcellanowym wazonie,
Rozwinięty do połowy,
Stał krzak różowy.
Ten swą pięknością zaprzątńiony cały,
Z pogardą patrzył na złoto, kryształ,
Na łańcuch co się pysznym blaskiem chlubił,
Z całego jednak gotowalni zbioru,
Choć inne były świetniejsze z wyboru,
Małej flaszeczki nie lubił.
Ta z czystego głazu rznęta
I szczelnie korkiem zatknęta,

Kosztowne wonie zawiera :

Jedną ją ręką Ismeny otwiera;
Krzak do niej w takiej odzywa się mowie.
„Niewiem, co w mej pani głowie,
„Że taką fraszkę ze szkła bryłę łada,
„Ciebie nademnie przekłada,
„Mnie chociaż zorza łzami swemi rosi,
„Chociaż jestem kwiatów wzorem,
„Gdy weźmie zrana, porzuci wieczorem,
„A ciebie zawsze, na piersiach swych nosi.
„Zkąd to pierwszeństwo, i cóż się to zowie?“

Flaszeczka na to odpowie:

„Dla czego pani przekłada mnie biedną,
„Co mi się zdaje powiedzieć gotowam:
„Ty woń twą ronisz dla wszystkich za jedno
„Ja moją dla niej samej tylko chowam.“

Do was kobiety łudzące,
Wszystkim podobać się chcące,
Sens tej Bajki jest zwrócony.

Ta co swą czułość zwraca w wszystkie strony,
Co uśmiechy i spojrzenia
Ciche szeptu, powierzenia,
Zarówno wszystkim udziela,
Jak róża, co swój zapach zionie wszędzie,
Zalotników liczyć będzie,
Nie zatrzyma przyjaciela.

1. Marca 1809.

B A J E A III.*Oryginalna.***Szczupak.**

W stawie, co raczej był wielkiem jeziorem,
Tak, żeś nieujrzał gdzie jego początek,
Razu jednego we czwartek wieczorem,
Łowiono ryby na piątek.
Gdy jedni łodem ciągną, drudzy w łodzi,
I ciężka sieci do brzegu dochodzi,
Pan chciwy, już się z daleka wpatruje,
Co się też w matni znajduje?
Było ryb wiele; tam karpie tuczone,
Liny, okunie, i płocie wzgardzone;
Z pierwszych, co większe Pan bierze dla siebie,
A mniejsze rzuca ku dalszej potrzebie.
I lin i karaś życiem darowany,
Lecz każdy Szczupak w raz na śmierć skazany.
Człowiek go biorąc, ty rzeczy, nie godny,
Ty prawdziwie wilku wodny,
Co nieustannie paszczę twą otwierasz,
I bez litości ryby me pożerasz,
Niechcę jak inne wolnością darować,
Lecz zaraz każę z pieprzem ugotować.
Szczupak odpowie: „Właśnie też Waszmości,
„Bardzo do twarzy mówić o litości,

„Cóż, że ja biedny, przymuszony głodem,
„Zjem płotkę, małym pożywię się płodem,
„I to mnie tak srodze wini?
„Stokroć człowiek gorzej czyni,
„Gdy nie z potrzeby, nie dla pożywienia,
„Dla pustej chwały, lub też z przywidzenia,
„Nie płotki, własnych swych braci,
„Męczy, zabija i traci;
„A gdy tysiące srodze zamorduje,
„Cieszy się dumny i Bogu dziękuje.
„Wierzaj mi człeku wyrodny,
„Przy tobie tygrys łagodny.“

10. Listopada 1808.

B A S I A II.*Naśladowana z Angielskiego.***Kloe i Pszczoła.**

Kloe piękna, hoża, ładna,
 Czasem w umizgach swych zdradna,
 Koło południa wychodząc z sypialni,
 Szła do roboty, to jest szła do gotowni:
 Tam się wdzięcznie uśmiechając,
 Sznurując usta, mrugając,
 Czyli to rokosz, czy trosków doznała,
 Czy niespodziane nieszczęście przypadło,
 Przyjacielowi swemu powierzała,
 A ten przyjaciel było to zwierciadło.
 Raz Pszczoła, trzpiot okrutny obcessem wypada,
 Basiu, Agatko, Kloe woła, dzwoni,
 Ach niech mię która od poczwary broni.
 Tym czasem Pszczoła na usta usiada,
 Kloe zemdląła: Basia przylatuje,
 I biedną Pszczolę zagnieść się gotuje, . . .
 — Przebóg! miej litość nad błędem,
 Zawoła robak, na cóż ci posłuża,
 Zgon mój i męki; lecącej zapędem,
 Usta twej Pani zdawały się róża,
 Ujęta farbą . . . na tę słodką mowę,
 Zemdlona Kloe wraz podnosi głowę,

Daruj, rzekła, biednej Pszczole,
Z jej mową zaraz ustały me bole,
Niech sobie leci to stworzenie płóche,
I cóż się nieprzebaczy dla kadzidła trochę!

19. Października 1808.



B A J K A II.*Oryginalna.***Lew i Piesek.**

W pośrodku pustyń Afryki,
 Gdzie mieszka ród zwierząt dziki,
 Lew Monarcha nad wszystkiemi,
 Pomiędzy tyło innemi,
 Którym swej łaski udziela,
 Za powiernika, i za przyjaciela,

Małego pieska wybiera;

I gdy z słodyczą na niego poziera,
 Głosem jak tylko Lew może łagodnym,
 Stańże się rzecze względów moich godnym,
 (Mówią, że ród Piesków wierny)
 Ty ciężar berła niezmierny,
 Ulżyć możesz do połowy,

I wiele złego uprzędzić:

Myśl rzadka królom, przyszła mi do głowy,
 Chcę koniecznie prawdę wiedzieć;
 Nie mając względu na żadne pobudki,

Donoś wszystko bez ogródki,

Czy w dzień, czy w nocy, czy z rana,
 Bez opowiedzi, i bez Szambelana,
 Do gabinetu przystęp ci jest wolny.
 Rozkazom pańskim powolny,

Piesek z spuszczonym ogonem,
Stawał przed Monarchy tronem,
Tam nieraz, jak mops pocziwy,
Panu, ojczyźnie życzliwy,
Słowem jak wierna rada,
Co należy to powiada:
Za pomyślne donaszania,
Za każdy kąsek ciekawy,
Lew, jak Monarcha łaskawy,
Dawał mu łapę do pocałowania.
Mops nasz w największych był łaskach na dworze:
Razu jednego Lew w dobrym humorze,
Rzecz do mopsa, to wszystko co gadasz,
Uboczne dzieje co mi opowiadasz,
Bardzo jest przednie, lecz chcę wiedzieć więcej:
Powiedz, co o mnie gada ród zwierzęcy.

Na ten rozkaz niespodziany,
Staął jak wryty, minister zmieszany,
By taić prawdę, był nadto pocziwy,
Wyjawić nieco trwożliwy.

Nie bój się, rzecze Monarcha z uśmiechem,

Prawdę mówić, nie jest grzechem,
Mów, jakie o mnie jest w kraju mniemanie?
Na to mops rzecze: „Najjaśniejszy Panie!
„Ponieważ takie są twoje rozkazy,
„Niech to, co powiem, będzie bez urazy:
„Powiada lud twój płochy, gadatliwy,
„Że Wasza królewska mość pan mój miłościwy,
Czy to z doprawdy, czyli tylko żartem
„(Kazałeś być mi otwartem)

„Przez swe względy dobroczynne;
„Zwierzęta winne albo też niewinne,
„Raczysz łaskawie rozdzierać,
„A nawet nieraz pasterza pożerać:
„Świeży przypadek nie jeden wymienia,
„Że upewnego strumienia,
„Pożarłeś jagnię niewinne i młode,
„Z przyczyny, że dziad jego, macił wodę.“

Tu z podegrzywy, z pod peruki wielkiej,
Lew toczył okiem iskrzącym,
A potem ryknął głosem tak rażącym,
Że zadrżał ród zwierząt wszelki:
Wieszże? dla czego takie plotą baję,
Dlatego, że mops głupi, plotkom wiarę daje,
Wierzysz wszystkiemu? gdybyś niechciał wierzyć,
Niktby nie śmiał potwarz szerzyć:
Rzekł, i biednego mopsika,
Chwyta w paszczę, i połyka.
Każdy zapewne co te słyszy dzieje,
Nad losem psiny łązy rzewne wyleje,
Biedny, zostawił naukę niesprzeczną,
Że silnym prawdę mówić niebezpieczno,
Bo u nich prawda, ma postać potwarzy,
Lisom się taki przypadek niezdarzy.

7. Maja 1808.

B A J K A XII.

*Oryginalna.***Obraz.**

Raz przyszedłem do Obrazu,
W ramach przepysznie złożonych,
Wrysach jego podrobionych,
Niebyło życia wyrazu:
Czemuż, wołam tę chudobę
W taką przybierać ozdobę!
Mnie ta przymówka nie wstydzi,
Rzeknie Obraz, nie mróż powiek,
Gorzej, kiedy się to widzi,
Że lepsza suknia niż człowiek.

15. Października 1808.

B A J K A XIII.*Oryginalna.***P a p u g a.**

Co wam powiedzieć dzisiaj ułożyłem,
Nie jest to Bajka ani też zagadka,
Własnymi na to oczyma patrzyłem,
Mam pannę Laurę za świadka.

W obszernej klatee, jak w pałacu jakim,
Pyszna Papuga siedziała,
Ubrana w szarym kolorze jednakim,
Innej odmiany nie miała,
Tylko że order nie poprawej stronie,
Lecz nosiła na ogonie.

Przez dobrą panią postawiona latem,
Gdzie rosły piękne krzewiny,
I pomarańcze i dojnice z kwiatkiem,
W gmachu w którym był przepych i wygoda,
I wszystko pięknie i zdrowo
Jak gdyby jaki zacny Wojewoda,

Pomiędzy szlachtą czynszową.
Dumna Papuga, lecz ludzka bez miary,
W jadalnej sali miała duże czary,
Pełne przedniego siemienia,

I co dla ptasząt smaczne do jedzenia,
Słowem, że stoły trzymała otwarte:

Małe ptaszyny z natury obżarte
Szczygieł, maleńka sikora,
Czyżyk, pliszka czarno pióra,
A najbardziej wróble spaśne,
Wszystko co mogło wleźć, przez prątki ciasne,
Lazło, i jadło póki ziarna stało :
A potem razem wszystko odleciało,
Te liczne goście, ten dwór okazały,
Dość miłość własną Papugi lechtały ;
Lecz kiedy sama czując trochę głodu,
Z prątku u góry zleciała do spodu,
Nie było żyru ani odrobiny,
Wszystko wyjadły ptaszyny.
Mówi przysłowie aż nadto prawdziwe,
Wielec małych uciskają,
Ale podobno i to nie fałszywe,
Że czasem mali możniejszych zjadają.

12. Sierpnia 1811. w Wilanowie.

B A D A XIV.

*Oryginalna.***Gęś i Osioł.**

Choćbyś miał siłę równą lwu samemu,
 Lub największemu z niedźwiedzi,
 Gdy na rozumie Bóg cię upośledzi,
 Ulegniesz nawet słabszemu.
 Na kępie kędy chłód i w dni gorące,
 Gdzie bujna topol srebrnym liściem trzęsie,
 Porozrzucane po niezmiernej łące,
 Pasły się Gęsie.
 Zdaje się dla nas rzeczy nipojęta,
 By trawa była do jedzenia zdatna,
 Jednakże wszystkie zwierzęta,
 Twierdzą, że jest delikatna.
 Jedna więc z Gęsi zieloną murawę
 Jadła, jak gdyby najlepszą potrawę,
 Osioł wiedziony tymże apetytem,
 Gardząc respektem damom należytem,
 Zaczął gryść trawę między małym wrzosem,
 Tuż Gęsi naszej pod nosem.
 Rozgniewała się Gęś strasznym sposobem,
 Wszczęły się żywe kłótnie i zatargi:
 Gdy to na próżno, czerwonym swym dziobem,
 Szczypnęła Osła w koniec grubej wargi,

Lecz zwierzę cierpiąc ból srogi,
Tyle rozumu nie miało,
Że się przedniemi bronić trzeba nogi,
Zawsze tylnemi wierzało,
To jest nie w stronę kędy ból przenikał,
Ale w tę stronę gdzie go nikt nie tykał;
I ztąd wypadło, że pomimo mocy,
W końcu walki i gonitwy,
Za nadejściem ciemnej nocy,
Przy Gęsi został plac bitwy.
Precz uszedł Osiół, Gęś szczęściem zuchwała,
Z radości strasznie wrzeszczała.

21. Sierpnia 1809. w Wilanowie.

B A J K A XV.*Oryginalna.***Słowik w Urnie.**

Między smutnemi ruiny,
 W lasku nad meleńką rzeczką,
 Kwilący Słowik pomiędzy krzewiny,
 W żałobnej Urnie miał swoje gniazdeczko;
 Wesoła pliszka stojąc na kamyku,
 Powiedz mi, rzecze, kochany Słowiku,
 Czemu od dawna i na każdą wiosnę,
 Obierasz za dom to miejsce żałosne?
 Zadość się twojej ciekawości stanie,

Łagodnie Słowik odpowie:

Rodzice moi i wszyscy przodkowie
 Na tem tu drzewie mieli swe mieszkanie.
 Strzaskał je wichur; a ja nieszczęśliwy,

Życząc, by widok dotkliwy,

Pamięci zeszłej dni moich niesmucił,

Osiadłem w Urnie i drzewom porzucił.

Pliszka mu na to: jeżeli przy korzeniu,

Drzewo puści latorośl i znowu odżyje:

Przerwał jej Słowik, ach! w takim zdarzeniu,

Z laurowych liści gniazdo me uwije.

20. Maja 1810. w Puławach.

BAJKA XVI.

*Myśl z Duncyady Popa.***Słońce i Mgła.**

Wynosić niewdzięczników, jest to gubić siebie,

Liczne tej prawdy znajdujem dowody;

Słońce przechodząc po błękitnem niebie,

Obszernego bagna wody,

Gorących promieni siłą,

W mgłę leciuchną rozpuściło:

Ta letka para wzbiła się do góry,

I wraz niepomniąc jak każdy niecnota,

Komu wzrost winna, kto ją wywiódł z błota,

Zebrawszy się w gęste chmury,

Szukała zaćmić dobroczyńcę swego.

Słońce niecierpiąc zuchwalstwa takiego

Nie pomnisz, rzecze, o podłe stworzenie,

Komuś twój winna początek, wzniesienie?

Lecz ujrzyś w krótkce gniewy nieśmiertelne,

I że niewdzięczność dobrze nieusłuży:

To mówiąc, światło roztoczywszy dzielne,

Przedziera chmury, już nie widać cieni,

Natychmiast Mgła się w nawałnicę mieni,

I tam z kąd wyszła, wraca do kałuży.

1. Listopada 1811.

B A S T A XVIII.

*Aurelio Bertola.***Fortuna i Poeta.**

Raz gdym we śnie ulgi szukał,
Po pracy i trudach wielu,
Ktoś do drzwi moich zapukał,
Woła Fortuna, otwórz przyjacielu,
Wybacz, że ciemnym wieczorem,
Przychodzę, z całym mym dworem. —
Ja twój przyjaciel? co za przywidzenie!
Nie mam ja tyle próżności,
Zanijdź raczej do chciwości,
Ta lepsze da ci schronienie. —
Przynajmniej użyż twój chatki,
Są zemną siostry rodzone:
Dostojność, wielkość, dostatki: —
Nie mogą być umieszczone, —
Patrz jak dziś chłodno i ciemno, —
Już ubóstwo mieszka zemną. —
Przynajmniej chwała i u ludzi wzięcie,
Tu dobre znajdą przyjęcie, —
I dla tych drzwi me zawarte: —
Jak te Poety uparte,
Fortuna mu odpowiada,
Pójdę do twego sąsiada, —

Droga ztąd do niego bliska, —
On dozna co jest ma chojność, —
Szczęśliwa podróż, on próżny dym zyska,
Ja zachowam mą spokojność.

8. Listopada 1811.



BAJKA XVIII.

Naśladowana z Aurelio Bartola.

Krokodyl i zielona Jaszczurka *).

Jaszczurka, nie ta co swym jadem czynna,
 Śmierć w żyłach naszych podzega,
 Ale Jaszczurka zielona, niewinna,
 Co na polach zwykle biega,
 Tak się do Krokodyla odzywa:
 Ach jakżem ja jest szczęśliwa,
 Że po tak długiej, i tak przykrej drodze,
 Spełnia się moja nadzieja,
 Że się w tych miejscach znachodzę,
 I dziadula dobrodzieja,
 Oglądać mogę: bo chcesz potężny,
 Ogromny, straszny, i mężny,
 A ja maleńka po skałach się kryję,
 Jednak pamięć u nas żyje,
 Że od waszego, i nasz ród pochodzi,
 To postać sama dowodzi:
 Na grzbiecie cętek rząd mnogi,
 Takaż głowa, ogon, nogi,
 Spójrzysz, a wszystko zapewni,
 Że jesteśmy bliscy krewni.

*) Po włosku Lucertola.

Tu gdy wywodzi jenalogię całą,
Ogromne monstrum na słońcu chrapało,
Lecz gdy go Jaszczureczka nudzi,
Nakoniec ze snu trochę się przebudzi ;
Któż jesteś mały? zapyta :
Jaszczurka dawne swoje parentele,
I jak w podróży ucierpiała wiele ;
W końcu z tak wielkiem imieniem,
Bliskiem zpowinowaceniem,
Znów się zaczęła nadymać,
A Krokodyl zaczął drzymać.

30. *Listopada 1813.*

B A S T A N T.

*Naśladowana z Angielskiego P. Gay.***Pawian.**

Co to za rokosz dla wszystkich narodów,
 Że męże co rządzą niemi,
 W udziale rządów, czyli też dochodów,
 Z cnót swych mądrości są niezrównanemi.
 Ztąd też pochodzi, że gdzie rzucisz okiem,
 Pomyślność na świat leje się potokiem,
 Wszystko tam dobre, i wszystko uczciwe,
 Aż miło patrzeć, jak ludy szczęśliwe!
 Ale niestety! pomiędzy zwierzęty,
 Dzieje się wcale inaczej:
 Tam, gdy który wiele znaczy,
 Skoro otrzyma urząd ważny, święty,
 Wraz nie publiczną szczęśliwość,
 Ma już na oku, lecz djabelską chciwość;
 Przez kradzież, brzemię ucisków,
 Swoich tylko szuka zysków:
 Niech nas jednak nie dziwi podłe ich mniemanie,
 One są bestye: a my Chrześcijanie.
 Lecz dość przemowy: czas, tak brzydkie wady,
 Dowieść przykłady.
 Poważna Pani, przez rozum i lata,
 Gdyż pono siódmy już krzyżyk liczyła,

Kiedy rokoszą, i marnością świata,
 Jak niewczesnemi wzgardziła.
Mieszkając w zamku odludnym,
By czas rozerwać, co jest nieraz nudnym,
Gdy serce próżne, a myśl niezajęta,
Zebrała różne, ptastwo, i zwierzęta:
Z temi się pieszcząc, dając pożywienie,
Choć nie szczęście, znalazła trosków zapomnienie.

 Widziano u niej w pokojach,
W oknach i na podwojach,
Misterne klatki, w nich głośnie słowiki,
Złote kanarki, i szare czyżyki,
Z pąsową piersią gile napuszone,
I z wysp odległych, papugi zielone.
Tu na wezgłowiu, czyli na kanapie,
Kręci się charciuk, lub mops tłusty chrapie,
Małpy klóćąc się za orzech lub gruszkę,
Nieraz do śmiechu, przywiodły staruszkę.
Niedosyć na tem, na folwarcznym dworze,
Rzadki piórami, i cudny w wyborze,

 Drób się chował niezliczony,
 Indyki, gęsie, kapłony,
 Gołębie spodem kosmate,
 Złociste pawie, i kury czubate.
Pomiędzy wszelkiem atoli zwierzęciem,
 Pawian z przenikłem pojęciem,
 Przez pocieszne podrzeźniania,
 Często niewinnych udania,
Choć w pochlebstwach swoich płaski,
Takie u Pani zjednał sobie łaski,

Że swej ufności dać mu chcąc dowody,
Rząd mu folwarcznej powierzyła trzody,
I dozór składu, gdzie ilość obfita,

Gryki, pszenicy, i żyta,
Złożone były dla drobiu użytku,

Wszystkiego pełno do zbytku.

Gdy objął urząd, śmieszno było wcale,
Patrzeć, jak Pawian, w całej swojej chwale,

Ton i powagę ministra przybierał:
Z rana wprzód nim się gabinet otwierał,
Dworskiego drobiu, niezliczone szyki,

Kury, kaczki, i indyki,

Chciwe na ziarno rzucać się mające,
Napełniały podwórze do mały wiodące:
Minister się pokazał! tu wraz cisza cała,
Do samej ziemi, nisko się kłaniała,
Co więcej, im kto był Pawiana bliżej,

Tem się starał kłaniać niżej.

Pochlebstwo z dzioba do dzioba latało,
Ten chwalił rozum, ów postać wspaniałą,
Jaka przystoi panu tak wielkiemu,

A Pawian wierzył wszystkiemu.

Wygląda żyru zgłodniała gromada,
On wprzód jednak każdemu coś grzecznego mówi,
Uśmiechnie się do kaczki, albo indykowi,

Jak się macie, sekretnie do ucha powiada;
Nakoniec skapą ręką, kędy rzesza marna,
Zmieszanego z plewami, rzuci trochę ziarna,
Co znaczniejszemu ptastwu rozdaje pszenicę,
Lecz obficie nad ziarno daje obietnice:

Niechaj się jak chce zdaje, zazdrosnym, i ciemnym,
Miejsce Ministra, nie jest zbyt przyjemnem.

Chyba, że mądry statysta,
Póki ma władzę, hojnie z niej korzysta,
By czy zachować, czy ma miejsce stracić,
Dobrze na przyszłość szkatułę zbogacić;
Takim był Pawian, na wszystkie przygody,
Chciał się opatrzyć dostatkami zebrany.
Obok szpichlerza, dla włościan wygody,

Siedziało tłuste babsko ze straganem,
Przedając różne pierniki, placuszki,
Orzechy, jabłka, i gruszki:
Dla mały skarby prawdziwe!
Więc przez faktory życzliwe,
Pawian nie bacząc na skargi i zrzędy,
Zaczął z babą facyendy.

Nie raz indyk, paw nawet, z prośbami nagłemi,
Lub chcący się dowiedzieć ważnego sekretu,
Czekali przed pokojem: gdy schodki tajnemi,
Wchodziła baba aż do gabinetu.

Jakiż cel miały te schadzki tajemne?

Oto kontrakty wzajemne,
Do ministra się frukta przeniosły dojrzałe,
A do baby zboże całe:

Bo Pawian, (gdyż przekupka lękała się stracić)
Gotowem ziarnem wszystko musiał płacić.

Wkrótce nędza, głód nawet między kokoszami,
Lecą do pani z skargami:

Zacna Hrabina wywód słowny czyni,
Patrzy po składach, pustki w każdej skrzyni.

A widząc jawne zbrodnie, niepłonne potwarze,
Chociaż ministra, jak złodzieja karze;
Ten kradzież wrócić musiał, z urzędu wyzuty,
W ciężkie kajdany okuty.

Dumy, chciwości, smutne stawił widowisko!
Zdarzyło się wraz potem, że gęś idąc blisko,
Przed strąconym ministrem i głowy niezgięła,

Zkądże się ta pycha wzięła?

Zawoła Pawian, ty co na mym dworze,
Kłaniałaś się do ziemi, lub stała w pokorze,
Dziś tak harda, dla jednej urzędu odmiany,
Patrz jakie z tego ptastwa grubiany!

Dumny szaleńcze, nie lżyj nas daremnie,

Rzecz mu gęsie, lecz ucz się odemnie,

Jaki jest obowiązków na świecie stosunek,

„Ukłony urzędowi, a cnocie szacunek.“

Tyś już pierwszy postradał, a drugiej nie miałeś,

Godzien zawsze pogardy, dziś jej doczekałeś.

14. *Stycznia* 1814.

B A J K I.

KSIEGA DRUGA.

ALONG RIVER

1 2 3 4 5

B A J K I.
K S I Ę G A D R U G A.

B A S T A L.

*Naśladowana z Hiszpańskiego de Don Thomas
de Iriarte.*

Osiół i Flet.

Na błoni świeżo skoszonym,
Osiół z uchem w dół zwieszonym,
Pasząc się trawy ostatkiem,
Znalazł flotrowers przypadkiem:
Zdziwion, ogląda i słucha,
Zważa nacoby się przydał,
Póty rusza, wacha, dmucha,
Aż przypadkiem Flet głos wydał,
Ho! ho! zawoła radosny:
Niechże w surowej krytyce,

Człowiek co tak jest zazdrosny,
Przygania osłów muzyce.
Ten głos, to granie rzewne,
Co nos mój wydał tak czysto,
Przekona wszystkich zapewne,
Żem pierwszym w świecie artysto.
W tym ośle widzim młodzików,
Którym, gdy kilka wierszyków,
Przypadkiem złożyć się uda,
Już sądzą, że piszą cuda;
Lecz im prędsi do nadziei,
Tem łatwiej miną się z metą,
Ten co rym przypadkiem zklei,
Dlatego nie jest Poetą.



B A J K A II.

Naśladowana z tegoż.

Niedźwiedź i Małpa.

Wychowaniec sławnej szkoły,
Co w Smorgońskiej leży ziemi,
Wspiąwszy się łapy tylnemi,
Tańczył Niedźwiedź wesoły :
Pełen o sobie mniemania,
Sądził, że wdzięczny, powabny ;
I że w sztuce tańcowania,
Duport był przy nim niezgrabny ;
Lecz próżność nigdy nie syta,
Chce jeszcze obcej pochwały,
Więc Niedźwiedź Małpy zapyta :
Jak jej się kroki jego podobały ?
Czy tańczy lekko, czy ładnie ?
Małpa uczona w łamańcach,
I znająca się na tańcach,
Krótko mu rzecze szkaradnie !
To czysta zazdrość Niedźwiedź odpowiada,
Wtem świnia z boku wypada,
Do tanecmistrza, leci żwawo,
Wrzeszczy strasznie bravo ! bravo !
Na ten kwik Niedźwiedź zmięszany,
Spuścił swe łapy na ziemię,

A że go nie bito w ciemię,
I był dosyć rozeznanany :
Tak myśli: kiedy Małpa mnie zganila,
Powątpiewać zaczynałem,
Lecz, gdy świnia pochwalila,
Już się całkiem przekonałem,
Że tańczę nie do rzeczy.
Zdanie Niedźwiedzia miejcie w czulej pieczy,
O wy! pisarze wybrani :
Żle już, gdy styl wasz, wyrazi,
Ważąc na rozsądku szali,
Uczony człowiek nagani ;
Ale gorzej tysiąc razy,
Kiedy je głupi pochwali.

B A J K A T E L.*Oryginalna.***Bobry.**

Przy pięknym dworze, w strugu czystej wody,

Mieszkał Bóbr z dziećmi i żoną,

Dom jego chociaż staroświeckiej mody,

Przez pracę, zmyślność Bobrom przyrodzoną,

Wszystko posiadał; czyste były wniścia,

Pełno w komórkach i kory i liścia,

W cichej swobodzie pędziły dni całe,

Jejmość, jegomość, i panięta małe.

Szczęśliwi, gdyby w życzeniach nie ślepi,

Żyli, jak ojce i dziady,

A będąc dobrze, niechcieli być lepiej.

Ale przeciwnie, gdyż obce przykłady,

Wszystko popsuć są gotowe,

Nieraz Bóbr z wody wyścibiwszy głowę,

Widział co się w zamku działo,

I jak tam wszystko jaśniało,

Jak małe dzieci pomiędzy szpalerem,

Chodząc sobie z guwernerem,

Jak gdyby na tej niezrodzonej ziemi,

Gadały słowa obcemi;

Pilne na wszystko mając уваżanie,

Rzekła do męża Bobrzyca:

Wieszże dla czego tak wielka różnica

Miedzy człkiem a zwierzem? oto wychowanie

Czyni ją, czemuż i Bobrzęta

Nie mają być chowane, jak inne panięta?

Niech nad naszemi biegle jakie zwierze,

Dozór oświecenia bierze.

Gdy tym zamysłem Bobrzyca zajęta,

Papuga kędyś z więzienia wymknięta,

Z ponsowym skrzydłem, a szara na grzbiecie,

Wałęsając się po świecie,

Jak gdyby swoje przeznaczenie zgadła,

Przy budzie Bobrów na gałęzi siadła,

I zaczęła szczebiotać różnemi języki;

Podobał się ten głos dziki,

Podobały się pióra pąsowe na szranku;

Wraz więc żona do męża, ach! mój ty kochanku,

Wszak ta papuga, kiedy dziób otwiera,

Nakształt dworskiego gada guwernera;

Co to za szczęście, i przygoda jaka,

Samo je niebo nam nieci,

Weźmy zaraz tego ptaka

Za dozorcę naszych dzieci.

Wielka powolność była w naszym Bobrze,

Co rzekła żona, wraz powiadał dobrze;

Nie bez trudności przyszło do ugody,

Z papugą naszą dziwaczną,

Musiano wielkie zapewnić nagrody,

I orzechów pensję znaczną,

Nim się podjęła wykwintnej usługi:

Nakoniec jęła męczyć niebożęta,

Zwierzęta.

Nauczyła ich dosyć przez czas długi,
Wszystkiego tego, co znają papugi:
Jak się krzywić, jak głowę na ramie pokładać,
Jak bez sensu głupstwa gadać,
Rozwodzić krzyki i śmiechy:
Wszystko to dobrze, ale, niedługie pociechy
Były rodziców, bo gdy z szczeniąt małych,
Doszły Bobry lat dojrzałych,
Pokazało się, co za żal, o Nieba!
Że wszystko знаły, prócz co Bobrom trzeba:
Żadnej do rzeczy domowej ochoty,
Same grymasy, a pasz do roboty.
Zestarzeli rodzice, a nie było komu,
Ni drzewa spuścić, ni zawlec do domu,
Ni tamy ubić ogonem,
Ni się w zimę opatrzyć świeżej kory plonem;
Znędzniał ród cały, dlatego jedynie,
Że w małej swojej rodzinie,
Ojciec i matka nie myśląc o głodzie,
Nad pożyteczne, woleli co w modzie.
Pożne na ten czas było narzekanie,
Na tak zdrożne wychowanie;
Próżno ojciec na dzikie patrząc koczkodany,
Skarżył się łzami zalany:
Biada nędznemu, lecz tak zawsze bywa,
Kiedy papuga Bobry wychowywa.

7. Października 1813.

B A J E A IV.*Z Niemieckiego Pfefel.***Koty.**

W Zamku jakiegoś Pana Wojewody,
Broiły szczury niesłychane szkody,
Tak, że gospodarz gniewem uniesiony,
Sprowadził kotów szwadrony,
Zalecając im, aby bez żadnej litości,
Zjadały szkodliwych gości.
Zgłodniałe koty zębami, pazury,
Rzuciły się zapewne na szczury!
Niezgadłeś, na lepsze kąski,
Na sery, szynki, półgąski,

A to widocznie, nawet i nie skrycie;
Aż Pan zawołał: bestye wykarmione,
Precz z domu mego, widzę, że służycie,
Jak gdyby jakie wojska sprzymierzone.

5. Maja 1812.

B A J K A V.

Naśladowana z Angielskiego P. Gay.

Człowiek i Zwierzęta.

W wiekach, o których nikt już nie pamięta,
Gdy wszystkie żyły po lasach Zwierzęta,

Pojedynczo albo w kupie,
Kiedy z nich żadne nie było tak głupie,

By się do człowieka zbliżyło,
By za korzyść co jest marna,

Za trochę siana, lub ziarna,

Wolność swoją zamieniło :

Wten czas każdy był sobie i panem i sługą,

Ale stan ów nietrwał długo :

Nadeszła zima, i mróz niesłychany,

Trzeszczały po domach ściany,

Cóż się dziać musiało w lesie?

Każde więc Zwierze, jak może kryje się,

Do jamy, w inne schronienia,

Jakie zwyczajnie potrzeba utworzy :

Wszystko to dobrze, ale co najgorzej,

Nie nie było do jedzenia,

Bestyjki dzwonią zębami ;

Aż pomiędzy Zwierzętami,

Szczęściem znalazło się Zwierze,

Co głęboko wszystko bierze,

Te niechcąc, by ród bydłęcy,
Na taką biedę narażał się więcej,
Słyszając, że Człowiek w towarzyskim bycie,
Miał zawsze wygodne życie,
Poszło (choć droga od lasu daleka)
Prosić dla Zwierząt o służbę u człowieka: —
Dobrze, Człowiek odpowie, lecz niech w przód słyszę.
Na co się zdadzą twoi towarzysze,
Czy w sprawiedliwej służbie zechcą cenie;
Taki naprzykład, którego żywienie,
Pięć groszy warte, a produkt roboty,
Przyniesie dla mnie choć czerwony złoty,
Takiego przyjmę, niech jeden i drugi
Stawa, i swoje wylicza zasługi. —
Kot pierwszy skoczył, i pokornie rzecze: —
Jaśnie wielmożny Człowiecze,
Kot pilny, czujny z natury,
Wszystkimi zęby wszystkimi pazury,
Służyć ci będzie, po twoich spiżarniach,
Po piwnicach i piekarniach,
Odprawiać ciągle podsłuchy i czaty,
Szynki, kielbasy, sery, cały sprzęt bogaty,
Pod protekcją mych pazurów,
Ujdą i myszy i szczurów. —
Dobrze, rzekł Człowiek, będziesz kontent ze mnie,
Niechcę byś służył daremnie,
Oprócz strawnego, weźmiesz za nagrodę,
Wszystkie szczury co złapiesz czy stare czy młode,
Niechcę żadnego: a że rokosz w darach czuję,
Nawet ci myszy daruję. —

Tu spojrzawszy na kondla, spyta: ty do czego? —
Ja, pies odpowie, zdatny do wszystkiego,
Będiesz miał ze mnie, użytek niezmierny,
Razem stróż, sługa, i przyjaciel wierny,
Lepiej jak hajduk, w niebezpiecznej toni,
Pies cię obroni.

Ja zawsze na pilnej stoję,
Strzedz będę, żeby złodzieje lub zbójce,
Nie zbliżyli się pod dom, albo do stodoły:
Pod moim okiem twe owce i woły,
I paść się będą, i spoczywać w chłodzie,
Jakby zamknięte w zagrodzie;
Nadto czyli to zająca, wiewiórkę,

Kuropatkę, lub przepiórkę,
Cokolwiek złapie się w lesie,
Pies wierny Panu przyniesie. —

Kiedy tak jesteś zdatnym i uczonym,
Rzekł Człowiek, będziesz wybornie karmionym. —
Bez najmniejszej trudności wół pod jarzmo zgięty,
Został przyjęty.

Wtem Człowiek patrzy, aż wieprz z brzuchem opu-
szczonym,

Z ogonem na bok, wtrąbkę zakręconym,
Idzie leniwo: a ty mój kochany,

Zapyta wieprza, doczegoś schowany?

Jakie twoje powołanie,

Co umiesz robić? — To śliczne pytanie!

Wieprz z gniewem rzecze:

Ja zaś mam robić? wiedz dumny Człowiecze,
Że z dziada, ojca, do syna,

Że cała nasza rodzina,
Nierobiła i robić niebędzie;
W pierwszym wśród Zwierząt umieszczony rzędzie,
Jestem szlacheicem, to dosyć powiedzieć:
Ja zaś miałbym się biedzić,
I jak ci podli wieśniacy,
Krew mą szlachecką zniżać aż do pracy!
Nikt mi tego niedokaże,
Nigdy się świnia podłością nie zmaże:
Przywilej od przodków wzięty,
Przywilej ważny i święty,
To jest, w lenistwie pędzić całe życie,
Jeść do woli, pić dobrze, i spać wyśmienicie;
Tę naddziadów cześć tak świetną,
Zachowam z pychą szlachetną.
I co teraz ogłaszam, to dotrzymam ściśle,
Nie robię, nierobiłem, i robić nie myślę. —
Człowiek mu na to: opasły żarłoku,
Słuchaj natury wyroku:
Ta kazała by każdy z ziemskiego stworzenia,
W pracy szukał pożywienia,
By użytecznym trudniąc się zamiarem,
Próżnem na ziemi nikt nie był ciężarem. —
Drwię ja z natury, odpowie wieprz dumny,
Niech dla pospólstwa swój kodex rozumny
Ogłasza sobie: jest w świecie różnica:
Prawa piszą dla ludu, nie zaś dla szlacheica. —
Bądźże sobie szlacheicem, pilnuj swego rodu,
Człowiek odpowiada z gniewem,
Lecz kiedy nawaluca, ze śnieżnym zawiewem

Wszystko zasypie, a ty zdechniesz z głodu,
Wspomnij, że kto w lenistwie życie poniewiera,

W nędzy umiera. —

Anglik tę Bajkę pisał, a jam ją przełożył,
Dla nikogom z niej krzywdy najmniejszej nie wróżył,
Morał jej nawet, już na nie nie zda się,

Jeśli do kogo ściąga się;

Do tych chyba, co już leżą w grobie,

Co w dobrych czasach, pozwalając sobie,

Zjadali, pili, co sejmy zrywali,

A z resztą o nie nie dbali.

Niech im Pan Bóg odpuści, a choć przewinienie,

Zbyt ciężkie, niech im da wieczne zbawienie;

Jak przodków, można szanować,

Lecz niech Bóg broni żeby naśladować.

1. Marca 1814.

B A J E A VI.

*Z Włoskiego.***Pszczola, Konik polny i Mucha.**

Kratillu, ty którego próżność zasepiona,
 Chce poprawiać Homera, nauczać Marona,
 Dozwól żebym przed twym progiem,

Stanął z małym Apollogiem.

O samym świecie w poranku majowym,
 Gdy niebo tłem się powlekło różowym,
 Przemysłna Pszczoła wyleciała w pole,

Z wierzchołka lilji, na fijałki w dole,

Z nich na róże wstydem płonne,

Z róży na jaskminy wonne:

Chociaż się nektar w głębi kwiatu kryje,

Pszczola spuszcza się w kielich i smocze i pije.

W pośród takiego Pszczoły zatrudnienia,

Nie nie mający w świecie do czynienia,

Polny Konik i Mucha, co nas często drażni,

W wielkiej żyjące przyjaźni,

Przyleciały w toż miejsce, i siadłszy na trawę,

Wielką zaczęły rozprawę,

Pełną rzadkiego wyvodu,

Nad sztuką robienia miodu. —

Jużcić to przeczyć daremno,

Mówiła Mucha do Pszczoły,

Że miód co robisz z takiemy mozoły,

Jest rzeczą dosyć przyjemną:

Z tem wszystkiem jakiś zapach niepojęty,

Szkodzić może nerwom słabym,

Szczerze ci powiem chciałabym,

Byś miasto róży i mięty,

Użyła soków cybuli lub dyni,

To miód twój przednim, wybornym uczyni: —

I ten воск, rzecze Konik, dobrze ulepiony,

Nie jest głupio wymyślony,

Przecież coś w nim niedostaje;

Posłuchaj rady coć daję,

Niezbieraj wosku ze kwiatów,

Ni z jasnych róży szkarłatów,

Lepszym będzie dla ciebie, a nawet do świcy

Gdy go weźmiesz ze smoły, albo też z żywicy. —

Kiedy tak dowcipne gady,

Dawały mądre swe rady,

Pszczoła w milczeniu jakby nie słyszała,

Wciąż nad dziełem pracowała. —

Tak się pisarzom zachować należy,

Względem bez umnej młodzieży.

W trafnej krytyce, w rozsądnej przestrodze,

Wielki użytek znachodzę,

Nie będzie bez nich doskonałą sztuka;

Lecz gdy fircyk, którego cała jest nauka,

Znać się na ponczu, albo na pasztecie,

Niby to mądrze gada, a niewie co plecie,

Bez sensu, czucia i duszy,

Wten czas trzeba zamknąć uszy.

B A J E A VII.

*Z Włoskiego.***Lew Sprawiedliwy.**

Dziejopis zwierząt, przed czasem Ezopa,
Jak nasz Kadłubek prawdziwy,
Traf wspomina niewątpliwy,
Że w puszczy kędy ludzka niepostała stopa,
Lew panował nad zwierzęty,
I że mu przyszedł koncept niepojęty,
Nietylko być sprawiedliwym,
Lecz życzyć by zwierz każdy był pod nim szczęśliwym.
Z tego powodu, w jak najlepszej wierze,
Najprzód lamparta za ministra bierze,
Po nim niedźwiedzia, ten że był ponury,
Niezgrabny, kosmatej skóry,
Że zawsze mruczał z miną zagniewaną,
Chciał, by go za wielkiego werydyka miano,
Acz pod układem otwartym,
Był popędliwym, srogim i upartym.
Lis słodki, w całym swoim ułożeniu,
W mowie a nawet w milczeniu,
Uprzejmy, łakomy, chciwy,
Trochę nieszczery, i trochę fałszywy,
Krzywdzić drugich, niemieniać by to było grzechem,
Oszukiwał zgrzecznością, uciskał z uśmiechem:

Dalsze ministry, albo radce stanu,
Najjaśniejszemu, co służyli panu,
Byli: wilk, tygrys, z niemi pies legawy,
Pies wprzód chciwy dobrej sławy,

Ale przez dworskie zepsucie,
Puścił się na wszystkie chucie,
Istny pochlebca: jeżeli uważał,
Ze Lew łaskawym tonem,
Mówił do kogo, i że go poważał,
Wraz tuląc uszy, i kręcąc ogonem,
Lizał się wdzięcznie i pokornie łasił;
Lecz jeżeli odkrył, że pan miłościwy
Na jakie zwierze się kwasił,

Że się cokolwiek rozdąsał,
Gniew monarchy ubiedz chciwy,
Z tyłu ukradkiem, za łytkę go kąsał.
Gdy obowiązek nań wkładał,
Straż i opiekę zwierzęcego rodu,
On, kiedy go Lew zabadał,
By mu powiedział szczerze bez zawodu,
Co z ludem jego dzieje się,
Czyli zwierzęta po jamach, po lesie,
Żyły szczęśliwie, kontente? —

Lwie Najjaśniejszy, wraz mu pies odpowie:
Szczęście twoich poddanych prawie niepojęte,
Wiedząc, że tobie winne, swą całość, swe zdrowie,
Ilekróć ciebie zobaczą,
Z radości płaczą.
Od barana do jagnięcia,
Niemasz jednego zwierzęcia,

By twej dobroci niebłogosławiło. —
Milo królowi było,
Słyszeć takie zapewnienia;
Lecz dnia jednego czyli z przywidzenia,
Czyli podobno z nudów niesłychanych,
Gdyż i w gmachach pozłacanych,
Nudy gotowe się wkładać,
I obok królów na tronie zasiadać:
Mniejsza z jakiego powodu,
Lew chcąc o stanie narodu,
Sam się przekonać, widzieć wszystko z bliska,
Zwiedzić jamy, legowiska,
Mówić nietylko z wierzęciem wytwornym,
Lecz nawet z osłem pokornym,
Wyszedł pocichu, o samym wieczorze:
Zrzuciwszy co świetnego w królewskim ubiorze,
By łatwiej z tłuszcza rozmawiać bydłą,
Oblekł się skórą cielęcą,
Lecz tak wybornie, iż każdy rzekł śmieie,
Że nie monarcha, lecz ciele a ciele.
Tak właśnie niegdyś w Bagdadzie,
Harun Alraszid po skończonej radzie,
Wielkim zajęty zamiarem,
Jak w tysiąc nocach pewne głoszą wieście
Z swym Wezyrem, Giafarem,
Przebrani chodząc po mieście,
Sami patrzący z bliska,
Czyli ubogich możny nieuciska,
Nieraz piekarzy, co chleby zmniejszali,
Łaskawie wieszać kazali.

Tak Lew nasz wolen od dworzanów tłuszczy,
Chodzi po polach, po łąkach, po puszczy,
Gdy spotka zwierze, wraz się zastanawia,
Pyta się, bada, o wszystkim rozmawia:

Nie długo pytał, głośnie narzekanie,
Wydalo w jakim ród zwierząt był stanie.
Widzi jak jego ministry bezwstydney,
Szerzą uciski i zdzierstwa obydne,
Mniemał że był kochanym, dziś w nagrodę pieczy,
Słyszy jak go klnie każdy i każdy złorzeczy:

Słyszy owieczek beczenie żalosne,
Jak te przez gwałty nieżnosne,
Na stół dawać musiały po jagniątek kilka,
Dla Jaśnie Wielmożnego Tygrysa lub Wilka;
Że oprócz tego dla Lamparta żony,
Pani u dworu niezmiernie lubionej,
(Niemówię gdyby dla człeka)

Znosić musiały co dzień beczkę mleka:

A to dla tego, że ta pani miła,

Kapać się w mleku lubiła.

Lis niejadł wiele, i małym był syty:

Na obiad kapłon kruchy wyśmienity,

A na wieczerzę, byleby nietwarda,

Tłusta oblana pularda.

Gdy tak Lew słyszy, z tej i owej strony,

Jak przez ministrów lud był ciemieżony,

A on za ufność nagrodzony zdradą,

Miedzy jałowic młodych wchodzi stado,

I widzi, że w tęż zagrodę,

Mający lustrować trzodę,

Potężny lampart, za nim wilk się zbliża.

Natychmiast cała rzesza z obu boków,

Na dwadzieścia najmniej kroków,

Cofa się i głowy zniża ;

Lampart z tą pogardą,

Co srogiej duszy zwykły być udziałem,

Po zgromadzeniu całym,

Krwia zaszle oczy,

W około toczy,

Rad, że w zniżonych czołach co bojaźń przeraża,

Potęęgę swoją uważa.

Wtem widzi ciele, jak gdyby z karmnika,

Tłustość mu kryje okrągłuchne kłęby,

Wraz lampart ślinkę połyka,

I żarłoczne ostrzy zęby :

Jednak potrzeba pozoru,

By skonfiskować to ciele ;

Lecz ministrowi, w którym wielka władza,

I wielka chciwość, cóż kiedy przeszkadza,

Wziąć za pozór bagatele.

Ciele, co może pana niepostrzegło,

Jak głupie za matką biegło,

A biegąc trochę beczało,

Przez co ta cichość, co bydło chowało,

W przytomności swych tyranów,

Jaśnie wielmożnych panów,

Przerwaną była. — Cóż to za beczenie,

Woła lampart rykiem grzmiącym,

Widzę, że głupie stworzenie,

Co za matką swoją bieży,

Niewie jaka cześć ministrom rządzącym,

Jaki się respekt należy:

Niech je zaraz do mego wiodą legowiska,

Tam go nauczę z bliska,

Jak z bestyą mego znaczenia,

I mojego urodzenia,

Każde zwierze, całości jeźli chce używać,

Powinno się zachowywać. —

Złękniona matka, głową i ogonem,

Chce ciele zakryć, i choć cichym tonem,

Jak gdyby króla pomocy wzywała,

Święte Lwa imię wspomniała. —

Co słyszę, krzyknie bestya zagniewana,

Obracając się do straży:

Jakże i krowa, podła, i wzgardzona,

W mej przytomności króla wspominać się waży,

Chce zuchwałemi wargi,

Przeciw mnie do Lwa zanosić swe skargi,

Hej komisarze, czyli nie słyszycie!

Weźcie i matkę i dziecię. —

Tu Lew rozżarzon cierpliwość swą traci,

Zdziera fałszywą odzież, i w własnej postaci,

Pokazuje się trzodzie, wzrok rzucając bystry;

Stanęli wryte złęknione ministry:

Lew prędko w swoich wyrokach,

Chcąc przykładowo ukarać zdradę i niewiarę

Razem ogłasza dekret, i wymierza karę,

I w kilku naprzód uczynionych krokach,

Okropną paszczę i szpony otwiera,

I winowajców na szmaty rozdziera.

Wy którym święte powierzono brzemie,
Wychowywać królów plemie,
W młode ich serce, umysły,
Wleciecie obowiązek ścisły,
Niech się ślepo niepuszczają,
Na tych, co tron okrażają;
Ale własnemi oczy,
Patrzają czy lud szczęśliwy, czy go kto nie tłoczy.
Ten blask co królów otacza,
Jest jak owe szkło barwiste,
Co biorąc światło nieczyste,
Kształt obiektów przeistacza!
Nie raz, gdy dom Monarchy, gdy cała stolica,
Rzęsistemi ogniami swe gmachy oświeca,
Gdy wszędy przepych błyszczy, a radosne głosy
Wzbijają się pod niebiosy;
Nie jeden wieśniak, co go nędza dręczy,
W ucisku jęczy.

11. *Lutego w Bareuth.*

B A J K I VIII.

*Z Francuskiego.***Szpak, Niedźwiedź, Małpa, i Wąż.**

Niedawno Niedźwiedź o wyniosłym grzbiecie,
Niegrabny, jak ten, co wyłazi z boru,
Lecz próżny, chcący coś zyskać na świecie,
Zapytał: jak się to wchodzi do dworu?
Do Lwa i króla pokornie, czy śmieie? —
Wraz dawać rady, jeśli przyjaciele,
Małpa mu rzekła: skacząc, podrzeźniając,
Szpak zaś powiedział wchodzi się śpiewając; —
Jeżeli prawdziwym życzysz być dworakiem,
Wąż go ostrzega, wchodź na brzuchu, rakiem.

20. Maja 1813. w Pradze.

B A J K A XX.

**Dwór Ulissesa przemieniony
w Zwierzęta.**

Kiedy Cyrcea rószechką czarnoksiężką,
 Dwór Ulissesa, one Konsyliarze,
 Marszałki, pазie, nawet i kucharze,
 Biorąc im postać mężką,
 Zmieniła w różne zwierzęta,
 Patrzy, aż stoi figurka nadęta,
 Był to podobno, niebardzo wyborny,
 Króla poeta nadworny.
 Dotykając go rószechką, tak Bogini rzecze: —
 Niech stworzenie, co szczebiece,
 Natychmiast gęsią się stanie;
 I stał się gęsią wierszopis.
 Ale choć uległ odmianie,
 Chociaż okryty już pióry,
 Przecież nie zmienił natury,
 Bo chcąc z talentem wyjechać na popis,
 Samej Bogini w oczy się postawił,
 I jak wariat wiersze prawił.

B A J K I

*Oryginalna.***K o m i n e k.**

Na kominie marmurowym,
 Wśród zimy ogień palił się wyborny,
 Gospodarz domu przezorny,
 Hojnie go drzewem podsycił olszowym,
 Pokój był duży, a zatem i chłodny;
 Wszyscy więc, Księżna, Hrabina,
 Poważny starzec i elegant modny,
 Cisnęli się do komina.
 Skoro się ogień zaświecił,
 Z rannej do wieczornej doby,
 Szczęśliwy, kto go choć na piędź zachwycił:
 Przez pierwsze z gości osoby,
 Komin był ciągiem w koło otoczony,
 Ileż on słyszał szeptania,
 Zwad, miłości, pojednania;
 Ztąd więc dumą napuszony,
 Wszystkie do ciepła zapędy,
 Brał za powinne swej wartości względy,
 Patrzał z pogardą i wielkimi fochy,
 Na krzesła, stolki i sofy.
 Trwało głupie zaślepienie,
 Aż póki lubej wiosny, słodkie technienie,

Nie jęło ziemi przygrzewać i świecić:
W ten czas, gdy ogień zaprzestano niecić,
Każdy chcąc wiosny chwycić oddech świeży,
Porzuca komin, i do okna bieży:
Nikt się przy nim nie został, ale co się zowie
Nikt, porzucili nawet froterowie;
Opuszczon zewsząd, na niewdzięczność tkliwy,
Poznał komin nieszczęśliwy,
Ze zgraja, co go chciwie otaczała,
Nie jemu, lecz się, ogniewi kłaniała.
Gdy stracisz, co ci fortuna udzieli,
Dopiero poznasz, czy masz przyjacieli.

1. Maja 1810. w Puławach.

B A J K A II.

*Oryginalna.***Wiewiórka i Niedźwiedź.**

Żywa, wesoła, zgrabna całym tokiem,
Z gęstym ogonem i wypukłym okiem,
Gdzie leszczyna rosła krzywa,
Żyła na dębie Wiewiórka szczęśliwa:
Ani się temu przynależy dziwić;
Wszystko, co zwierze, może uszczęśliwić,
Wiewiórce dali Bogowie,
Rozum, wesołość i zdrowie,
I miłość pracy, starania przezorne,
Czyste sumienie i serce wyborne.
Nie mógł oszczerca dowieść mową srogą,
Żeby choć na włos ukrzywdziła kogo:
Posiadała przymiot rzadki,
Przymiot, co mędrzec za pierwszy policza,
Oddalonemi nie gryźć się przypadki,
Korzystać z chwili, której los użycza;
Z tej przyczyny w każdej porze,
Zawsze w przedziwnym humorze,
W ciągłej przemianie, pracy i zabawy,
Życie pędziła. Zielone murawy,
Z lubym małżonkiem przelatując szybko,
Suwała z lipy na topolę gibką;

Baczna na przyszłość, póki wiek i siła,
Do wydrażonej swej strzechy,
W pyszczku i łapkach znosiła,
Dojrzałe zewsząd orzechy.
Te prace i to na przyszłość baczenie,
Nagrodziło dobre mienie ;
Bo kiedy zima obnażyła lasy,
I zwierz nie jeden obumierał z głodu :
Wiewiórka miała obfite zapasy,
Dla siebie i dla małego rodu :
Wszystko w jej domu czysto i wygodnie,
I mówić można, że żyła swobodnie.
Widok prawdziwie, był rozrzewniający,
Kiedy śnieg padał, albo grad bijący,
Jak od tej słoty bezpieczne,
Piękne, wesołe i grzeczne,
Dzieci przy matce, zasiadły w około,
Gęstym ogonem zasunawszy czoło ;
Muskając pyszczek przednimi łapkami,
Ciekawie strzygąc uszkami,
Słuchały, co im matka rozprawiała,
A ta, przygody, gdy wspomina walne,
Wszędzie nauki moralne,
Do swej rozmowy mieszała.
Mówiła, jak to nim czas nadszedł śnieżny,
Nie raz na okno biegała do Księżny,
Jakie to państwo, jakie pokoje ozdobne,
Jak zacne syny i córki nadobne ;
Już naśladować umieją rodzice :
Słowem, że nie ma różnice,

Że tam, jak u nich w czynie i powieści,
Cnota, wesołość i dowcip się mieści;
Nikt tam, mówiła, nie odchodzi próżno,
Ilekrć biednych, darzyli jałmużną,

I ja choć Wiewiórka mała,
Kilkam orzechów dostała.

Tak używała wieczorów zimowych,
Aż póki wiosna ogrzewając ziemię,
Czynne i wesołe plemię,

Do zabaw i prac nie wróciła nowych.
Lecz nie ta jeszcze treść powieści cała,
Na wierzchu dębu Wiewiórka mieszkała,
To wiemy, ale któż mieszkał u spodu?
Stworzenie wcale przeciwnego rodu.
W zapadłej jamie, głuchej, niedostępnej,
Zwierze postaci srogiej i posępnej,
Niedźwiedź, co zawsze rzucał się i srożył,

Mieszkanie swoje założył:

Nie wylazł, tylko żeby czynić szkodę,
Czyli się dostać w rolnicze zagrodę,
Tratował grykę i ule wydzierał,
I nie raz pszczoły niewinne pożerał;
A gdy zjadł zboże, drzewa postrząsał,

Jeszcze się gniewał i dąsał.

Przez całe życie smutny i leniwy,
Nie znał, co moment szczęśliwy;
Z niezgrabną żoną, żyjąc chwilę małą,
Nie wiedział, co się z nią i z dziećmi stało;
Latem po puszczy i mruczał i psował,

A gdy mróz już następował,

Gdy śnieżna flaga już zaszła na Niebie,
Nie kontent z drugich i siebie,
 Las obnażony porzucił,
 I do smutnej jamy wrócił;
Bez zapasu, nie mając co psuć i ogryzać,
Nędzny, przez zimę musiał łapę lizać.

Uczcie się młode panięta,
Nauki, co wam te dają zwierzęta.
Wiedźcie, że jak praca czynna,
Słodycz w obejściu, wesołość niewinna,
Życie nam czynią przyjemnem;
Tak dzika srogość z wejrzeniem podziemnem,
Lenistwo choćby przy największej sile,
 I serce co nie nie czuje,
Rozlewa gorycz na młodości chwile,
 I przykrą starość gotuje.

29. Października 1810. w Puławach.

B A J K A III.

*Z Francuzkiego.***Dyogenes.**

Dyogenes był mędrce^m tak niegdys^ś wsławionym,
Że ci go filozofem, a owi szalonym,
Nazywać zwykli . . . ja się temu niedziwuję,
Bo ten, co ludzkich głupstw nie naśladowuje,
Często jest miany, u wielkiego świata,
Za waryata.

Ten więc waryat, tak był osobliwy,
Że chciał koniecznie na małym przestawać,
Szedł spać ze słońcem, ze słońcem zwykł wstawać:
Mniemano, że był głupi, a on był szczęśliwy.
Na pozór grosza niewarta osoba,
Kostur duży, płaszcz z łatami,
Kapelusz z trzema dziurami,
Cała jego garderoba.
Głuchy na ludzkie gadanie,
Obrał beczkę za mieszkanie.

Raz zjadłszy główkę kapusty surowej,
A dłonią wody czerpnawszy zdrojowej,
Pyszny posąg, na rynku Ateńskim spostrzega,
Wraz więc w to miejsce przybiega:
I pada na twarz, ręce w górę wznosi,
I pokornie wsparcia prosi.

Lecz gdy długo w żebrzącej zostaje postaci,
Rzekł mu jeden z Greków braci:
Filozofie, coż myślisz twem zyskać modleniem?
Ten posąg twardym kamieniem,
Bez serca i mózgu w głowie,
Nie trwaj dłużej w twej obłudzie. —
Prawda, filozof odpowie,
Lecz cóż innego są ludzie?
Wielbiąc te głązy twarde,
Kiedy u nich żebrzę tkliwie,
Uczę się ludzką pogardę,
Znosić cierpliwie.

6. Sierpnia 1815.

BAJKA XIII.

*Oryginalna.***Robaczek świecący
i Podróżny.**

Obłąkawszy się w nocy Podróżny niejaki,
Widział, że się coś bardzo świeci między krzaki,
Mniema, że jaka gwiazda, ogień gorejący,
Zbliża się, aż ta gwiazda był robak świecący;
Ileż to gwiazd podobnych widziemy na świecie!
Cicho . . . już widzę, skóra świerzbi cię na grzbiecie.

1. Sierpnia 1815.

BAJKA XIV.

*Oryginalna.***Światło i Ciemność.**

Sułtan Wampunu, przed niewielą laty,

Ciężkie bardzo poniósł straty;

Drogie kamienie, po części skradzione,

I w koronie osadzone,

Niebacznie nosząc, pogubił;

A że je serdecznie lubił,

Więc przez firmy wydane,

Zachęcił wierne poddane:

Aby, jeżeli go cokolwiek kochali,

Tak wielkiej zguby szukali.

Obiecywał im nadto niezmiernie nagrody,

Mądre prawa i swobody.

Zachęceni tym głosem, odważne janczary,

Derwisze, Szpahy, Imany;

Słowem, wszystkie Muzułmany,

Zakasawszy szarawary,

Z niezmierną pracą, przy niezmiernych znojach,

Szukali po ulicach, dziedzińcu, pokojach.

Niemogąc znaleźć, uradzili zgodnie,

Żeby zapalić pochodnie;

I przy ich świetle, szukać i po murach,

Po najmniejszych szczelnościach, po kątach, po dziurach.

To się udało, skutkiem pracłożonych,
Tylu światel połączonych,
I usiłowań i cnoty,
Poznachodzono klejnoty:
Co więcej w tejże usłudze,
Poznachodzono i cudze,
Szafiry, i rubiny, pereł szereg cały,
Co nigdy do Wampuna, ani należały;
Ale, że bardzo piękne, i ognia wielkiego,
Choć były cudze, powiedział, że jego,
I zabrał sobie: lecz przejęty trwogą,
Widząc, ile przy świetle, ludzie zdziałać mogą,
Bojąc się srodze, by w innej potrzebie,
Nie używali pochodni dla siebie:
Rozkazał w głównem meczecie,
Aby wierni w Machomecie,
Pogasili natychmiast, bez żadnej różnice,
Wszystkie pochodnie, latarnie i świece,
I ażeby kto żywot swój pragnie ocalić,
Nieważył się i stoczka małego zapalić;
Ciemność więc była, tak gruba, daleka,
Żeś nierozeznał, bestyi od człowieka;
Lecz cóż się stało? Gdy panują cienie,
Zgasły i samej korony promienie.

30. Maja 1815.

B A J K A XV.

*Oryginalna.***Wytrysk i Strumień.**

Z śnieżną pianą z wrzącym szumem,
 Gdzie pyszne były ogrody,
 Między gęstych widzów tłumem,
 Wytrysk wyrzucał swe wody ;
 Gdy szklanne pasmo podnosił do góry,
 Słoneczne farby, złoto i lazury,
 Obijając się o jasne kryształy,
 Zwodniczym blaskiem igrały ;
 Każdy patrzył z uniesieniem,
 I choć czas daremnie trawił,
 Przecież się i dziwił i bawił,
 Wyskokiem iskier srebrzystych.
 Obok ogródka między gajów cieniem,
 W pośrodku smugów kwiecistych,
 Cichym nurtem Strumień płynął,
 W spokojnym swoim korycie,
 Ni to on szumem, ni szparkością sływał ;
 Lecz za to skrapiał obficie,
 Poblіższe pola, i łąki, i krzaki :
 Pewny w swym biegu i zawsze jednaki,
 Choć nikogo niezadziwiał,
 Ani czynów swoich głosił,

Wszystko atoli wilgocia zażywał,
Wszędzie pożytek i żyzność roznosił.
Jakie imiona te nosiły wody,
Jeżli objawić wymaga porządek,
Powieм bez żadnej dla nikogo szkody,
Wytrysk był Doweip, a Strumień Rozsądek.

1. Czerwca 1810. w *Wilanowie*.



B A S E A E V I.

*Oryginalna.***Ślimak.**

Powolnym krokiem z spuszczonemi oczy,
 Jak ten co go smutek tłoczy,
 Gdzie góry strome skaliste,
 Cienia buki rozłożyste,
 Chodziłem ścieszką: alć wedle krzaka,
 Na piasku widzę Ślimaka:
 Ten dom swój niosąc na grzbiecie,
 Chociaż nieznacznie postępował przecie:
 Rzekłem więc głośno, o biedne stworzenie!
 Jakie być musi twoje udręczenie,
 W długich podróżach, w każdej życia dobie,
 Nosić ten ciężar na sobie. —
 Tu co za cudo, o Nieba!
 Ślimak głośno odpowiada: —
 „Nie roszkasz ale potrzeba,
 Tym nas ciężarem okłada;
 Był przed laty byt nasz dobry,
 Jak ludzie, albo jak bobry,
 Tak i Ślimaki łązące,
 Mieli swe domy na ziemi stojące:
 Lecz cóż się stało, o dniu pełen trwogi!
 Przyszedł bestytek tłum mnogi,

Z ostremi szpony, wąsate,
I całe prawie kosmate,
Zjadłe, zapamiętałe,
Niszczące krainy całe;
Najprzód po domach jeły się rozgaszać,
Potem je całkiem przywłaszczając,
Tak, że gdy Ślimak ubogi,
Z dalekiej powrócił drogi,
Nieznalazł domu, a nieszczęsna zona,
Z dziećmi na dwór wypędzona.
Ach był to ucisk straszliwy!
Aż Ślimak jeden sędziwy,
Widząc swój naród w ostatecznej chwili,
I że zginie plemię całe,
Radził co widzisz, byśmy, domki małe,
Zawsze na grzbiecie nosili:
Przez ten sposób, ród Ślimaczy,
Jeszcze coś po lasach znaczy:
I wyście zwierzem, los mię wasz obchodzi;
Jeżeli więc radę udzielić się godzi,
Zwłaszcza w najeździe burzliwych orszaków,
Co gnębią ludzi równie jak Ślimaków:
Radziłbym byście tak jak ja czynili,
I domy wasze na plecach nosili;
Lecz próżnej rady niebędziecie prosić,
Bo już podobno niemacie co nosić. —

1. Czerwca 1812.

BAJKA XVII.

*Oryginalna.***Paw i Sowa.**

Często przymioty, na których nam zbywa,
Przez zawiść co się tajemnie odzywa,
Bierzem u drugich za błędy i wady:
Tę prawdę setne dowodzą przykłady.
Co za twór brzydki, zawoła na Pawia,
Sowa dumą napuszczona:
Na próżno biedny nadstawia,
Złoto swojego ogona,
Jakie ruszenie niezgrabne,
Słowem wszystko niepowabne.
Prawda, Paw rzeczce, i przyczyna snadna,
Dla tegom brzydki, że ty jesteś ładna.

5. Sierpnia 1813.

B A J K A XVIII.

*Naśladowana z Niemieckiego.***Dwa Kłosa.**

Wzniosłszy swe czoło do góry,
Kłos pusty trafem, czyli też z natury,
Jakich niemało w naszej okolicy,
Mówił do kłosa pszenicy,
Co ważną ziarnem na dół głowę schylił: —
„Co za śmieszne widowisko,
Czemuż twe czoło nachylasz tak nisko? “ —
„Z odpowiedzią, kłos rzecze, nie będę się silił,
Wzniósłbym się w górę, gdyby głowa moja,
Była tak pustą jak twoja. “ —

Puszy się cymbał w ordery ubrany,
Żyje Licydas całkiem zapomniany.

B A D A N I E.

*Z Francuzkiego.***Słoń, Turkawka i Sroka.**

W pośród szerokiego boru,
 Gdzie cień mieszka wiekopomny,
 Bez Szambelanów, bez dworu,
 Przechadzał się Słoń ogromny:
 Że szedł piechotą, a żadnym powiewem,
 Dnia tego Zefir, niechłodził żądany,
 Pod niezmiernem jednym drzewem,
 Spoczął monarcha dużo zmordowany.
 Na wierzchu drzewa, Sroka gniazdo miała,
 Niżej Turkawka mieszkała.
 Sroka największa trzepaczka na świecie,
 Bo sama niewie co plecie,
 Zoczywszy Słonia postać dosyć rzadką,
 „Ach patrzaj, rzecz, sąsiadko,
 Co to za potwór, niezgrabny mięsisty,
 To bałwan czysty.
 Wole wielbłąda, choć z dużemi garby,
 Jak jego skórę co zmarszczona w karby,
 Zewsząd spada jako wory,
 Wszak to nogi jak stępory,
 Jak płaskie uszy: lecz to jeszcze mniejsza,
 Daruję nawet ogonek misterny,
 Ale co najpocieszniejsza,

To małe oczki a nos tak niezmierny :
Patrz tylko na nos , prawdziwie bez grzechu,
Pękać się , można od śmiechu. “ —

„ Wcale nie , dobra Turkawka odpowie,
Zwać trzeba rzeczy jak się każda zowie :
Ten nos jest ręką , tą on wszędy zwraca,
Według potrzeby wyciąga lub skraca,
Do każdej umie użyć jej roboty,
To niedość : zręczność , przewyższając cnoty,
Ma siłę , jednak źle jej nieużywa,

Razem potężny i zręczny ;
Choć się urazi , rozgniewa,

Dusza jego nie zawzięta,
Za dobrodziejstwa jak wdzięczny,
Długo je , długo pamięta. “ —

Te sprawiedliwe pochwały,
Wielce Srokę rozgniewały,
Próżno sąsiadce nieśmiała już przeczyć,
Lecz by wygodniej bliźniemu złorzeczyć,

Złajała biedną Turkawkę,
Dość przykre mi wyrazami,

Potem jakby na zabawkę,
Leciała jeszcze gdaczeć z kokoszami.
Wiele ichmościów możnaby przytoczyć,

Co szezebioczą jak ta Sroka,
Dobrych przymiotów nieumieją zoczyć,
Lecz żadna wada nie ujdzie ich oka.
Boleć należy nad ludzkością biedną,
Ileż Srok liczym za Turkawkę jedną.

B A J E A *Oryginalna.***Fiałek i Kamień.**

Błady Fiałek z głową pochyloną,
 Nad strumykiem w chłodnym cieniu,
 Rósł przy Kamieniu;
 Czyli dzień czarną powlókł się oponą,
 Światło się skryło nocnego księżycą,
 Czy błysła zorza różowego lica,
 On przez tkliwości swej skutek,
 Czuł w każdym listku i radość i smutek.
 „I cóż ci z tego żeś tkliwy,
 Rzeknie mu Kamień nieczuły,
 Za chwilę którąś szczęśliwy,
 Ileż ci godzin frasunki zatruły:
 Dziękuję za dary takie,
 Ja ich bynajmniej nie cenię,
 Dla mnie na świecie wszystko jest jednakie,
 Dlatego czerstwy i dobre nam zdrowie.“ —
 „Gadasz, jak gadać nawykły Kamienie,
 Skromny Fiałek odpowie:
 Czem jesteś, z mowym cię poznał,
 Niezna wesela, kto smutku niedoznał.
 Zostań nieczułym, ja wolę mą smętność,
 Wolę łzy rzewne, niż twą obojętność.“ —

BAJA XXX.

*Oryginalna.***Gieniusz i Rozsądek.**

Wyniosły Gieniusz, i zdrowy Rozsądek,
Wielkie z sobą wszczęli spory :
Nieszło o miejsca porządek,
Gieniusz cudownemi twory,
Pierwsze miał w świecie zalety ;
Szło, kto w zamierzonym kresie,
Wieniec nagrody odniesie,
I pierwszy stanie u mety.
Śmiał się duch pyszny, że Rozsądek skromny,
Bez skrzydeł co by go wzbili,
Na niższość swoją niepomny,
Z niepojętymi chciał się mierzyć siły.
Kiedy więc chwila nadeszła zawodu,
Rozwinał skrzydła wzniosł się pod obłoki,
Przeciwnik jego niezmieniając chodu,
Nie spiesźnie, lecz pewnymi postępował kroki.
Zepsuty szczęściem, zbyt zarozumiały,
Zbyt przyuczony do chwały,
Buja Gieniusz, powietrza szlaki wszystkie śledzi,
Pewien, że zawsze wyprzedzi.
Gdy się szalonym polotem unosi,
Na północnej świata osi,

Okropny wicher powstaje,
 I łamiąc skrzydeł rozciągniętych brzemie,
 Łbem nadół pada na ziemię;
 A kiedy Gieniusz na żywioły łaje,
 Srogiemi grozi odwety,
 Rozsądek stanął u mety.

1. Grudnia 1813.



P A W I S Ł O W I K .

*Oryginalna.***Paw i Słowik.**

Rozpiąwszy ogon na koło,
Stał Paw prosto wyprężony,
Leciuchna kitka zdobiła mu czoło,
Iskrzący rubin i szmarag zielony,
Błękitny szafir i topaz bogaty,
Okrywały pyszne szaty;
Patrzył i nogami deptał,
Skoro ogonem zatoczy,
Wszystkich na się zwraca oczy :
Ten głośno wołał, a ów cicho szeptał,
Ach co to za ptak prześliczny.
Zbiera się zewsząd widzów poczet liczny,
Piękność piór jego wysławia;
Lecz kiedy się unosili,
Aż wtejże chwili,
Wszyscy porzuciwszy Pawia,
Do małej biegli krzewiny:
Z jakiejże proszę przyczyny?
Wszakże tak ich zadumiewał?
W tem krzewie Słowik zaśpiewał...
Nad drogie szaty i jasne kamienie,
Dla serc tkliwych słodsze pienie.

Tej prawdy był już Mecenas przykładem,
 Nieraz on przepych Augusta porzucił,
 Szedł do Tyburu by nad Wodospadem,
 Słuchał jak Horacy nucił.



B A J K I.

KSIĘGA TRZECIA.

I M C A C

1800-1801

B A J K I.

K S I Ę G A T R Z E C I A.

B A J E A I.

Oryginalna.

K u k a w k a.

Wiosna świat lubym, owionęła technieniem,

Już świeżym liściem las się przyodziewał,

Ród ptaszy wesół szczęścia uniesieniem,

Kochał i śpiewał.

Wszędy ruch wielki, gwar rozlicznych głosów,

Napełniał gaje i poziome krzaki:

Te wiją guiazda z gałązek i włosów,

Te niosą w dzióbkach dla dzieci robaki,

Lub ścielą puchy i maleńkie trawki.

Wszystko się trudni, prócz jednej Kukawki:

Ta tylko baczna na korzyści swoje,

Nie znała tego co moje i twoje,

Samolub wielki, mniemała, że inni,
Dla niej pracować powinni.

Zimna, rokoszą niegardziła przecie,

I jak to bywa na świecie,

Z miną skromności obłudną,

Jak powiadają, niezbyt była trudną ;

I jasnym tego dowodem,

Bo gdy się bliską czuła na zleżeniu,

Mniej dbając co się z młodym stanie rodem,

Postrzegła gniazdeczko w cieniu,

Nie wielkie, ale porządnie uwite

Od deszczu wonnym jasminem nakryte ;

W tem gniazdeczku ziemia mała,

Na pięciu jajach siedziała.

To właśnie dla mnie wygodne mieszkanie,

Myśli Kukawka i prosto tam leci,

Mówiąc do ziemy : „ Chwałę twe staranie,

„ Lecz kiedy lubisz tak dzieci,

„ Pozwól, że trochę usiedę,

„ I w tem gniazdeczku połóg leżeć będę :

„ Jak zlegnę, tobie dla przyszłej młodzieży,

„ Starczyć pokarmu należy,

„ Pięć razy na dzień jeść im będziesz dawać,

„ I tyleż razy napawać,

„ Czyś pilna spojrzę czasem z tego dęba. “ —

„ Wielmożna pani, odpowie ptaszyna,

„ Jam jest tylko biedna ziemia,

„ To małe gniazdo, cała ma drużyna,

„ I ja i mąż mój, z samego poranku,

„ Pracujący bez ustanku,

„Ledwie wyżywić możem niebożęta,
„Biedne pisklęta :
„Cóż gdy przybędzie wasze pokolenie,
„A zwłaszcza teraz kiedy pożywienie
„Rzadkie jest, skape w robaczki są lasy,
„Słowem ciężkie bardzo czasy :
„Czemuż mię z mego rugować kącika,
„Nie lepiej, żeby Pani dobrodzika,
„Uwiwszy gniazdo wspaniałe,
„Sama w niem żyła i panięta małe?“ —
Przerywa ziembie : — „Rad nie potrzebuję,
„Lecz na nieszczęście gdy się wciąży czuję,
„Gdy zbyć się trzeba nudnego ciężaru,
„Ustap mi z miejsca bez dalszego swaru,
„Inaczej doznasz, że niezawsze głaszczę,
„Zaraz cię z gniazda całego wywłaszczę,
„Innym ta sprawa niepójdzie sposobem.“ —

To mówiąc skrzydłem i dzióbem,
Potrąca ziembę, jaja jej popycha,
Tysiąc narobiwszy licha,
Siada rodzi i ucieka ;

Na próżno ziemba narzeka,
Cóż słaby pocznie gdy gnębi potęga,
Westchnie, zapłacze i znosi z pokorą.

Choć ciasno, ziemba zasiadłszy wylega,
Dwie Kukawiatek i ziembiąt pięcioro :
W ten czas dopiero zaczęła się biada,

Gdy przyszło żywić pisklęta tak liczne,
Ziemba i mąż jej choć grad nawet pada,
Latały chwycać muszki ponadrzeczne,

Drobne robaki, zwir, lub kamyk mały,
Bo Rukawięta, strasznie wymyślały:
Im bardziej rosły, tym trudniejsza praca,
 Nakoniec kiedy zeszło im na siłę,
 Wyżywić siebie, karmić dzieci tyle,
Zgryzota, biednej ziemyby życie skraca,
A w krótcie potem gdy nie było komu,
Co by dla małych kto przyniósł do domu,
 Choć przynajmniej kroplę wody,
Próżno wołając aż do późnej nocy,
 Ziębi Rukawek zginał poczet młody.
Takie są skutki gwałtu i przemocy:
Możesz najechać ubogą chudobę,
Nieść w dom niewinny nędzę i żalobę,
Lecz gnębiąc słabych, tem się nie z bogacisz,
Co wydrzesz, w krótcie nikczemnie utracisz:
 Bo to prawda oczywista,
Ze ten co krzywdzi nigdy niekorzysta.

15. Maja 1810.

B A J K A II.

*Z Francuzkiego.***Leda.**

Lat temu będzie trzy tysiące blisko,
Jak pewna dama, Leda jej nazwisko,
Przez gust jakiś niepojęty,
Ptaka co nosi kark pięknie zagięty,
Z srebrnemi skrzydły, biały jak śmietanka,
Słowem, łabędzia wzięła za kochanka.
Dzisiejsze damy, choć jak Leda cudne,
W wyborach swoich mniej są jeszcze trudne,
Nie raz za mężów, nawet lubowników,
Biorą indyków.

25. Maja 1813. w Pradze.

B A S T A R T.

*Oryginalna.***Woły.**

W wieku szczęśliwym w którym dziś żyjemy,
Wiadomo wszystkim, ile Wołków zjemy:
Jedzą je żydy i pany,
I piechury i ułany,
Nawet drab co się wałęsa,
Zawsze pewien kawał mięsa.
To prawda, że zraz pieczeni,
Gdy się dobrze zarumieni,
Smaczny jest bardzo, lecz i tu różnica;
Bo gdy dla ludzi, dobra połównica,
Kiedy nam miło jeść Woły i spijać,
Nie miło Wołom dawać się zabijać:
Niedziw więc że się bydłom sprzykrzyło,
Że ich tak wiele na rzeź wychodziło.
Jeden z nich znaczny wzrostem i powagą,
Wzruszon szlachecką zniewagą,
Długoż, rzekł, będzie się godzić,
Człeku nad bydłem przewodzić?
Czy my to wróble, czy żaby nikczemne,
Czyli jakie płazy ziemne,
Byśmy bezbronne gubić się dawali?
Czas jest abyśmy powstałi:

Zniszczmy człowieka rodzaj nieużyty,
Kolmy rogami, tratujmy kopyty. —
Nie dobrze gniew twój doradza,
Rzekł wół poważny już wiekiem,
Nie trzeba mścić się nad człakiem,
On sam plemię swe zagładza,
Przez mordy, rany i guzy,
On nas przewyższa swą nędzą:
I czemuż nasze szlachtuzy,
Przy tych, na które go pędzą?
Samych ludzi srogie hordy,
Powetują nasze mordy:
W walkach wśród których się biedzą,
I w których wiecznie się krwawią,
Sami siebie w krótkce zjedzą,
I świat zwierzętom zostawią.

18. Listopada 1812.

BAJKA IV.

*Oryginalna.***Złoto i Żelazo.**

Dukat świetnem pyszny złotem,
Pod twardym jęczący młotem,
Tak na swe losy narzekał:
Czegożem ja się doczekał,
Ach! jaką dla mnie to skazą,
Być gnębionym przez Żelazo;
Przez kruszec podły i twardy. —
Chciej powściągnąć ton twój hardy,
Młot na dukata zawoła:
Nikt tego zmienić nie zdoła,
Nikt tej prawdy nie ukryje,
Ze Żelazo Złoto bije.
Póki Żelazo będziemy posiadać,
Umieć jak pługiem i orężem władać,
A cnota z męztwem będą kraju stróżę;
Piekielna chciwość nigdy nieprzemoże.

11. Stycznia 1814.

B A J K A V.

*Oryginalna.***Wół i Skowronek.**

Tam, gdzie Skowronki najtłuszcniejsze w świecie,

Podobno w Lipskich równinach,

Zdradliwy ptasznik już zemknął swe siecie

Na przełęcznionych ptaszynach.

Nie bez przyczyny były ciężkie trwogi,

Gdyż im śmierci rodzaj srogi,

Stawał już w oczach, ten sam co się darzy,

Wśród bisurmańskich mocarzy,

Kiedy ich dlabią taśmą pozłacaną:

Słowem ptaszki dusić miano.

Jeden z Skowronków wołał tonem tkliwym:

„Lituj się nad nieszczęśliwym,

Szanuj wdzięczne moje pienie;

Niech srogość twoją ukoi,

Patrz oto duży Wół stoi,

Da ci lepsze pożywienie!“ —

Na to człek rzecze: — „Wół ten zostać musi,

On nas żywi i bogaci,

Ciebie choć sznurek udusi,

Świat na tem mało co straci:

Że się niewacham w wyborze,

Niechaj cię to nie zdumiewa,

Potrzebniejszy ten co orze,
A niżeli ten co śpiewa.

I cóż moralność tej Bajeczki znaczy,
Zmierzasz do celu jakiego?
Do ekliwych wierszy bazgraczy,
A naprzód do mnie samego.

20. Maja 1810.



B A J K A VI.

Naśladowana z Francuzkiego.

Gęś.

Z małym oczkiem, i nosem czerwonym,
Na jeziorze roztoczonym,
Gęś głupia, zatem pyszna, bo to razem bywa,
Gdy rokosznie sobie pływa,
Widzi wśród kurcząt szeregu,
Kurę na brzegu.
Wyznaj, rzeczce, że w całym kręgu przyrodzenia,
Doskonalszego stworzenia,
Niewidziałas nademnie: czy w powietrzne szlaki,
Wzbiję się, i wspaniale latam między ptaki;
Czyli obłoki porzucę,
I chodząca po trawie, słodko sobie nucę:
Jest co posłuchać, i jest patrzeć na co,
Słowem Gęś wszystkie talenta bogacą,
Co tylko uczy sztuka, lub natura,
Wszystko ja umiem, nikt temu nie przeczy. —
„Wszystko, odpowie kura, ale niedorzeczy.“ —
Są Gęsi między ludźmi, co każdej nauki,
Nie jednej nawet wyzwolonej sztuki
Liznawszy trochę, sądzą się mądrymi,
A przecież ledwie, ledwie są miernymi.

B A J K A VII.

*Oryginalna.***Melon.**

U Szlachcica w dniu czwartkowym,
 Na półmisku farfuruowym,
 Pokazał się przy obiedzie,
 Przed jegomością na przedzie,
 Melon dosyć okazały,
 Piękny, dojrzały,
 Jaki nie wszystkie zwykły miewać damy:
 Na ten widok tak łakomy,
 Radość w twarzyczkach się świeci,
 U małych dzieci,
 I dziewczynek i chłopczyka,
 Każdy już ślinkę połyka;
 Gdy się do wetów zabrano,
 I Melon krajać już miano,
 Rzekła pani Stolnikowa:
 „Niechaj się ten Melon schowa,
 „Jest on pierwszy w fruktów rzędzie,
 „Może nam jutro kto z gości przybędzie;
 „Wszakże przed państwem popisać się godzi,
 „Nie prędko taki Melon się urodzi.“
 Na ten wyrok tak niemiły,
 Wszystkie się dzieci skrzywiły.

Wielki się smutek w twarzyczkach maluje:
Nazajutrz Melon znów się pokazuje;
Nikt nieprzyjechał, i znów go sprzątnięto,
Toż samo we dni powszechnie, i święto,
Nakoniec po dniach czterech albo pięciu,
W środku, na końcu, i w całym objęciu,
Czarne się plamy rzuciły.

Wten czas niebacząc czy jejmość połaje,
Sam pan Stolnik Melon kraje,
O Nieba! cały był zgniły!

Jeżeli fortuna znana swoją zmianą,
Rzecz ci nastarczy wielce pożądana,
Tej nieodkładaj do jutra nieboże,
Chwytaj ją prędko, niebądź opieszwały,
Bo jak ten Melon dojrzały,
I szczęście zepsuć się może.

1. Sierpnia 1813.

B A J K A VIET.*Naśladowana z Francuzkiego.***Dzwon i serce od niego.**

Jakżeś okrutny, ach! jaki morderca,
Mówił Dzwon do swego serca,
Tak mnie uderzać ustawnie,
Rozumiesz, że to zabawnie,
Szczekać tak nielitościwie,
Dlaczegoż tyle chałasu,
Niepokoju i niewczasu? —
„Dla czego? niewiem prawdziwie;
Odpowie serce: możeć zawieszono,
Dlatego, żeby w ciebie tłuczono, dzwoniono;
Chciej się raczej sznuru badać,
On mną nieprzestaje władać,
Co on każe, to ja robię,
Więc jego pytaj się sobie. “ —
Dzwon pyta sznura, czemu się tak rusza,
Że prawie wszystkich ogłusza?
Sznur się z swej strony tłómaczy,
Że choć się kiwa, nie wie co to znaczy;
Zapytaj sobie dzwonnika:
„Cały się sekret zamyka;
Dzwonnik odpowie,
W uczonej głowie,

Dzwonu i dzwonnicy pana,
Księdza Plebana. “ —

Lecz o nieszczęście! ustawicznym dźwiękiem,
Szczękiem i brzękiem,
Książdz pleban ogłuchł, choć Dzwon wiecznie badał,
On nic niesłyszając, nic nieodpowiadał.
Łosem więc było Dzwonu nieszczęsnego,
Dzwonić, niewiedząc dlaczego.

1. Maja 1816.



B A J K A IX.

Naśladowana z Angielskiego.

Lis na śmiertelnej pościeli.

Lis stary, bardzo na siłach stargany,
Gdy już najdroższych stracił przyjacieli,
I na śmiertelnej ujrzał się pościeli,
Chcący pożegnać ród swój ukochany,
I dać mu jeszcze zbawienne przestrogi,
Zbiera Liszek poczet srogi,
Piękne córeczki i synów,
I wnuczeta i kuzynów.
Zeszli się wszyscy, tuląc żal niezmierny,
A widząc jak był stary jegomość mizerny,
I jak parki nieużyte,
Blizkim groziły mu zgonem,
Nie jedna Liszka ogonem,
Zakrywała łzy obfite;
Była to żałość szczerą,
Bo gdy Lis jaki umiera,
Ni zamków, włości, ni chłopów,
Ani gumien pełnych snopów;
Ni klejnotów ku ozdobie,
Nie zostawuje dzieciom po sobie.
Lis, wzniósłszy nieco ociężalej głowy,
Temi do dzieci odzywa się słowy:

„Kochane dzieci porzućcie niecnoty,
„Niewiecie jakie sumienia zgryzoty,
„Dręczą za każde zbrodnie popełnione,
„Patrzcie, ach! patrzcie, oto już skrwawione
„Stoją przedemną gęsi i indyki!
„Cóż jest ta kura zawzięta,
„Co żałosnemi krzyki,
„Wyrzuca zadłabione przezemnie kureczęta!“ —
Zgłodniałe Lisy wytryszczyły oczy,
„Gdziesz są te gęsi: gdzie ta kura kwoczy?“
Pytały: „patrzym, lecz nie nie znajdujem,
„I na próżno się tylko oblizujem,
„Żadna tu z gęsi nawet i niemignie;
„Prawdziwie papa gada jak w malignie;
„Ach! gdyby gęsi tu się pokazały,
„Wraz byśmy wszystkie złapały.“ —
„Brzydkie żarłoki, zawołał Lis stary,
„Najsurowszej godne kary,
„Nic nie myślicie, tylko żeby zjadać,
„I po kurnikach, i grzędach się skradać;
„Przez to łakomstwo, co was wiecznie łudzi,
„Obruszyliście zwierzęta i ludzi.
„Ustawnie, jak na szkodliwego zwierza,
„Tu człowiek strzelbę śmiertelną wymierza,
„Tam w ciemnej kniei zakłada psy gące,
„Lub z lekkiej smyczy spuszcza charty ręce.
„Raczej jak w wiecznej trwodze życie trawić,
„Czemuż się lepiej, czemu niepoprawić,
„Porzucić rozbój, podstępny zdradliwy,
„I żyć jak Lisy pocziwe:

- „Gdy w oczach stanie śmierć z postacią groźną;
„Żałować wtenczas już będzie za późno. “ —
„Wyborna rada, Liszka mu odpowie,
„Gęstem ogonem ozdobna;
„Lecz z niej korzystać już nam niepodobna,
„Wspomnij, czem nasi bywali przodkowie,
„Co się dziś jeszcze między nami dzieje,
„Z ojca do syna wszyscyśmy złodzieje;
„Niegodziwości plama zbyt zelżywa,
„Ród nasz okrywa.
„Choćbyśmy nawet dziś się poprawili,
„I jak jagnięta w niewinności żyli;
„Nikt nie uwierzy: niech na jakiej grzędzie,
„Zaginie gąska, lub jaje ubędzie,
„Choćby je nawet i szczury wypily,
„Zaraz powiedzą to Lisy zrobiły.
„Któż będzie naszą obroną?
„Cieżko odzyskać sławę raz straconą. “
Lis przerwał: „Takie mowy nie nieznaczą;
„Lecz cóż ja słyszę, pono kury gdaczą,
„Bieście, niech każdy ostrożnie zachodzi,
„I mnie podobno kurczę nie zaszkodzi. “

24. Lipca 1811. w Neplach.

B A J K A X.

*Oryginalna.***Ryba.**

Obok jasnego strumienia,
Człowiek w chwili zamyślenia,
Na zielonym brzegu siedział,
Dumał, a o czym? sam pono nie wiedział; 
Widząc atoli prześliczną pogodę,
I mając wędkę rzucił ją na wodę:
Patrzy na piórko, i czeka i czeka,
Nic nie przychodzi... już noc niedaleka.
Alic' nakoniec, coś haczyk trąciło,
Zadrżała linka, piórko się schyliło,
Człek niecierpliwy, porywczo wyciąga,
Patrzy aż złapał niewielkiego pstrąga,
Wziąwszy go, rzecze: — „O stworzenie biedne,
Jak się też możesz na robaczki brydne
Łakomić, chwycić hak co zdradnie błysnie?“ —
„Dlatego, Ryba odpowie,
Ze mnie głód nieznośny ciśnie,
Ze prawdziwie, co się zowie,
Głód tylko jeden, nie chciwość,
Bo ci przysięgam na moją pocziwość,
Ze przez dobę całą,
Zjadłam tylko muszkę małą.

Ale ty człowieku dumny,
Tak przezorny i rozumny,
Co mię o łakomstwo pytasz,
I tę chciwość prędką,
Czemuż pochlebstwa wędka,
Sto razy na dzień się chwytasz?
By chwycić haczyk, mię głód ciężki budzi.
A ciebie tylko sama próżność łudzi. “ —

Zdaje się że te pstraga uwagi dowodzą,
Że Ryby nietak głupie, za jakie uchodzą.

5. Lipca 1811.



B A J K A X L

*Oryginalna.***Jastrząb i Krogulec.**

Wzbite w przezroczyście szlaki,
Walczyły z sobą dwa ptaki,
Śmiałe, wyniosłe, nieznające trwogi,
Jeden Krogulec, drugi Jastrząb srogi,
Gniew ich był nieukojony,
Biły się dzioby, rozdzierały szpony.
Ciekawy wiedzieć o bitwy przyczynie,
Co między nimi sprawiło różnicę,
Patrzę, aż o to szło tylko jedynie,
Który z nich dwojga miał zjeść gołębicę.

To co się działo między ptaki temi,
Nieraz się pono trafiło na ziemi.

B A J E A N I E.

*Z Niemieckiego.***Pies Legawy i Przepiórka.**

Od duszy podłej lękaj się wszystkiego.

Do polowania ułożon ptaszego,
 Ze lbem spuszczoneym, zwinny Pies legawy,
 Wietrzył krzak każdy i najmniejsze trawy,
 Gdy się skowronek w powietrzach przeważał,
 Śpiewając całą swą siłą,
 Ze go ciężko dostać było,
 Mniej na to zważał;
 Alić raz w cierniach Przepiórka ukryta,
 Chodząc za ziarkiem gryki albo żyta,
 Pod bystre oko mu wpada,
 Natychmiast dworak całkiem się uklada,
 Skazanym na śmierć już ciesząc się plonem:
 Spuściwszy uszy i kręcąc ogonem,
 Z słodkiem spojrzeniem, kroki układnemi,
 Schyla się, czołga, aż do samej ziemi.
 Myśliwiec za nim: widząc to ptaszyna,
 Szparko się zrywa skrzydełka rozpina;
 Tu krzemień palcem spuszczoney,
 O stal uderza, jasna iskra błyska,
 Razem tuż za nią piorun utajony,

Godzi w nieszczęsną i na ziemię ciska:
Gdy stramieniem krew z niej ciecze,
Przed zgonem tak do psa rzecze: —
„Poznaję ciebie niewolniku podły;
Że groty z ręki człeka mię przebodły,
To mnie bynajmniej niedziwi,
On się tylko śmiercią żywi;
Ale ty coś jest tak wiernym i tkliwym,
Ty coś losem zbyt szczęśliwym,
Miał honor psem się urodzić,
Mógłżeś się płaszczyć, żeby tylko zwodzić?“ —

8. *Lipca* 1811.

B A J K A XIII.*Oryginalna.***Manowce i prosta droga.**

W jedno miejsce, choć pono w widokach dość różnych,

Wybrało się dwóch podróżnych:

Cel ich drogi był odległy.

Jeden obrotny, przebiegły,

Byleby grosz swój pomnażał,

Na sposoby nic nie zważał;

Drugi człowiek bogobojny,

Nieznał co jest czyn podwójny,

Gardząc źle nabyte mienie,

Nad skarby wołał sumienie.

Gdy się ku mecie puszczać przychodziło,

(A wiele ludzi patrzyło)

Człęk rzetelny pewną nogą,

Poszedł sobie prostą drogą;

Lecz oszust z wykrętów znany,

Pomiędzy ludem i pany,

Tak sobie po cichu rzecze:

Możesz sobie dobry człecze,

Twej prostej drogi pilnować:

Ja co wiem, jak się kierować,

Pójdę sobie manowcami,

I ukośnemi ścieżkami:

Nieraz ja po takiej drodze,
Wiele znachodzę:
Zacapię pieniążki czyje,
Oszukam kogo, a nawet rozbiję.
To mówiąc z miną dość żwawą,
Zawsze w lewą nigdy w prawą,
Manowcem gdzie ścieszka krzywa,
Leci, wszędzie coś urywa,
Nie zważając na bagna, na kałuż wezbraną,
Brnie nie raz w błoto po same kolano,
Choć go niejeden potrąca i łaje,
Wiele nabrawszy, pierwszy w miejscu staje,
Ale staje tak zwałany,
Tak okropnie pobryzgany,
Ze choć bogatym obciążony sprzętem,
Každy nań patrzył ze wstrętem,
Každy go palcem wytykał.
Przeciwnie człowiek, co błota unikał,
Co prostej trzymał się drogi,
Przyszedł czysty, choć ubogi,
Z wejrzeniem kędy szacunek się czytał,
Každy go mile przywitał.

15. *Marca* 1816.

B A J K A XIV.*Oryginalna.***Ser i Kartofel.**

Na Kartoflu, suchym, małym,
 W miejscu nieco zaniedbałym,
 Żyły robaczki maleńkie,
 Nóżki miały bardzo cienkie,
 Niezmiernie chude, w całej objętości,
 Niebyło widać jak skórę i kości.
 Niedziw więc że w takim głodzie,
 Zawąchawszy zapach Sera,
 Co w bliskiej leżał gospodzie,
 Na żer ten, ród się zwierzątek wybiera:
 Oblazi w koło . . . po Kartoflu brudnym,
 Zdał się Ser przysmakiem cudnym,
 Tak, że ród, co był tak suchy,
 Utył niezmiernie i miał wielkie brzuchy.
 Podobało się siedlisko:
 Bojąc się jednak, by dalej, czy blisko,
 Nie spytano się, dlaczego tam siedzą,
 Jakiem prawem, cudze jedzą,
 Ażeby na to, coś wyrzec umiały,
 Ser ten Kartoflem nazwały.
 W krótkce atoli, gdy się strasznie tuczą,
 Kiedy się goszczą i chuczą,

Zbytek, odmienne w życiu ich sposoby,
Zrodziły straszne choroby,
Słowem, oznaki śmiertelnej zarazy:
Potrwożyły się najezdnicze płazy.
Zgłębiając srogiej zarazy przyczyny,
Poznały, że te były z własnej winy;
Że temu który do Kartofla wprawny,
Ser będzie zawsze niestrawny;
Że lepiej choćby robak się wygłodził,
Żeby tam siedział, kędy się urodził,
Niezjadał cudzych przysmaków,
Bo to niepięknie dla słuszných robaków.
Przekonane tą prawdą, zwlokły resztę siły,
I na Kartofel wróciły.

15. Maja 1815.

B A J K A X V.

*Oryginalna.***Dwa Ptaszki.**

Mówią, że w lesie dwa maleńkie Ptaszki,
 Czyli to były słowiki,
 Czyli strokate czyżyki,
 Czyli też ziemby? to fraszki;
 Rozumiem jednak że ziemby,
 Żyły oboje w lesie, między dęby.
 Samiec był hoży, przystojny i młody,
 Samica mniejszej urody,
 Oko piękne, słodka minka,
 Słowem prześliczna blondynka:
 Do tej tak pięknej postaci,
 Co Ptasząt umysł i serce bogaci,
 Wszystko w nich miałeś zebrane;
 Lecz czyli z młodu, zdroźnie wychowane,
 Czyli z natury, przez zdarzenie nowe,
 Strasznie były romansowe.
 Raz więc gdy czysta płynęła krynica,
 Siedząc na krzaku samica,
 Jak przystoi na ptaszynę,
 Tak się do męża swojego odzywa: —
 „Moje ty serce, me życie jedyne,
 Ta tłuszcza ptasząt pusta, szczebiotliwa,

Co tu lada między lasem,
I ten świat wielki, z całym swym chałasem,
Może dla płochych być blaskiem zwodniczym,
Lecz dla dusz tkliwych, prawdziwie jest niczym,
Bo cóż za rokosz, w pośród tej gromady?
Ustawny chałas, zaloty, lub zwady,
A nigdzie szczęścia, ani rozrzewnienia,
Jakież ich są posiedzenia?
Zlecą się wszyscy: tutaj sójka szydzi,
Dalej trzpiot szczygieł, sam niewie co brzydzi,
Tam gołębica, wdowa od lat wielu,
Jęczy po swym przyjacielu,
Tu swe umizgi, prowadzą czeczotki,
Tam sroki dzikie, rozgadują plotki,
Co mówię, nieraz przylecieć gotowa,
Nadęta sowa.

Powiedz kochanku, jakąż w tem zebraniu,

W tym chałasie, roztrzepaniu,
Dla dusz jak nasze, tak wiernych, tak tkliwych,
Znajdujesz słodycz? nie w gajach gwarliwych,
Gdzie każdy zwodnie, i mówi i czyni,
Prawdziwe szczęście mieszka na pustyni.
Ach moje serce, wystaw sobie proszę,
Co to za radość, jakie to rokosze,
W głuchym zakęcie, z trochę ziarna, wody,
Bez natrętników, bez żadnej przeszkody,
W każdym momencie, i w każdej potrzebie,
Być zawsze z sobą, i patrzeć na siebie. “ —
Mąż jej odpowie: — „Gdy tak ci się zdaje,
Lećmy kochanko, choć i w dzikie kraje. “ —

To mówiąc, skrzydła rozwinawszy małe,
Lecą przez godzinę całą,
Obok siebie i pospołem,
Bujając górą, ciskając się dołem,
Po samopłynnym przestworze:
Szczęsne, wesołe, w przedziwnym humorze,
Wcześniej oboje stanęli,
Gdzie ich pustynia, z resztą świata dzieli:
Słodki był w prawdzie, zaciszy początek,
W dniu pierwszym rozmów nieprzerwał się wątek,
A jeżeli przerwał, to przez całowanie,
Albo przez tkliwe skrzydełek ściskanie;
Mniej już nazajutrz, na trzeci dzień mało,
W czwartym co mówić nie stało.
Że nieprzerwane, mniej słodkie pieszczoty,
Nareszcie jęli doznawać tęsknoty:
W pośród poziewań, i długości czasu,
Od nudów przyszło do kwasu,
Z małej przyczyny i za powód lichy,
Kłótnie, przymówki i sztychy;
Coby na ów czas luba para dała,
Żeby przynajmniej choć sowa zleciała,
A niosąc wieści, by nawet i dawne,
Chciała im przerwać sam na sam ustawne;
Lecz ptastwo, co ich ucieczkę widziało,
Popłótszy trochę, wkrótce zapomniało.
Nareszcie ziemby, na tej głuchej dzicy,
Długo pustyni kosztując słodczy,
Poznały w końcu, nawet w dobrej wierze,
Powiedziały sobie szczerze,

Że niesmak świata, zbytek osobności,
Są trucizną dla miłości.
Zapewne w życiu najśłodsza jest doba,
Sam na sam z lubą osobą:
Miło się rzewnić wylewy tkliwemi,
Lecz miło czasem pogadać z drugiem,
Bo to podobno odwieczną ustawą,
Że towarzystwo, kochania zaprawą.
Poprawne ziemby, do gajów wróciły,
Szczęśliwe sobą, drugich nie stroniły.

9. *Lutego 1810.*

B A J K A XVII.*Oryginalna.***Dwa Konie.**

Gdzie ciasna droga a raczej drożyna,
 Zeszły się z sobą dwa Konie:
 Jeden z nich z żytem wioził wory do młyna,
 A wdół nachyliwszy skronie,
 Obfitym zlewał je potem;
 Drugi cały błyszczał złotem,
 Pysznym czaprakiem grzbiet miał ozdobiony,
 Na nim haft suty, przy hafcie galony.
 Wtem że droga była ciasna,
 Częścią potrzeba, częścią miłość własna,
 Wznieciły kłótnie między bestyami,
 Dość się spierano żywemi słowami,
 Jaki porządek zachować,
 Kto się miał zostać, a kto postępować.
 Rumak zawolał: — „Ja o miejsce proszę,
 Ja kwiat młodzieży na mým grzbiecie noszę,
 Rycerza co jest tak mężnym tak śmiałym,
 Że nie raz w boju zuchwałym,
 Krocie zabijał, a ileż kaliczył,
 Tegobym nigdy nie zliczył:
 I jam też sławny, bo gdy on wojował,
 Jam kopytami tratował;

Więc wolną zostaw mi drogę. “ —

„Ja się zwycięzctwy pochwalić nie mogę, —
Rzeknie Koń wiejski, — mnie losem przypadło,

Wlec pług lub bronę, albo ostre radło :

W tej ja to pracy ciągle choć powoli,

Kilka włók twardej uprawiwszy roli,

Na niej gdy piękną zasiano pszenicę,

Ta wyżywiła naszą okolicę,

I liczną czeladź przez czas dosyć długi :

Jest w tem podobno kawałek zasługi,

Więc wyznaj, żem potrzebniejszy. “ —

„Ale ja jestem mocniejszy : “ —

Odpowie rumak i pędem nań zmierza,

I tak potężnie piersiami uderza,

Że biedna szkapa z swojemi jukami,

Spadła w rów, a gdy robiła bokami,

Nieczuły rumak na biednego żale,

Tratuje zboże i suwa wspaniale. —

To Bajka : nic się takiego nie zdarzy,

Zawołał Zoil, to ci się przyśniło :

Bardzo przepraszam, to się przytrafiło,

Kiedy Podole napadli Tatarzy.

B A J K A XVII.*Oryginalna.***Małpa i jej Dzieci.**

Dwóch synów Małpa powiła :
Razem matka i macocha,
Jednego bardzo lubiła,
Lecz drugiego ani trocha ;
Dla faworyta wszystkie jej starania,
Byle deszcz mały , albo chmura lada,
Ona już nad nim przepada,
Tuli do łona i zewsząd ochrania,
Żeby wśród wilgotnej doby,
Niedostał kaszlu , lub innej choroby.
Lecz skoro ustał czas chłodny,
I zawiął Zefir łagodny,
Nielekając się zasadzki,
Schodzi z drzewa dla przechadzki,
Trzymając synka na rękę.
Był to syn starszy, zbyt dziecina luba,
Małpiego rodu nadzieja i chluba,
Matka nań patrząc wzrokiem pełnym wdzięku,
Cudo w nim świata widziała,
Ścisłała i całowała.
Lecz gdy go pieści, drugi syn wzgardzony,
Własnym siłom zostawiony,

Dlatego może od brata zręczniejszy,
I przytomny i silniejszy
Sam za matką szedł dość śmiało:
Gdy tak po lesie trio się błakało,
Wilk żarłoczny z boku w pada,
Strach okropny: matka blada,
Niewie co robić, widok srogi ją zdumiewa,
Trzeba koniecznie było dopaść drzewa,
Lecz z dzieckiem w rękę niemogła;
Nakoniec całość życia własnego przemogła:
Rzuca synka na ziemię, gałęzi się chwyta,
A wilk pożarł faworyta.

Inny los młodszego syna,
Co mókł na deszczu, na słońcu się palił,
Temu niebyła potrzebną drabina,
Sam wskoczył na dąb, i życie ocalił.

B A J E A XVII.*Naśladowana z Francuzkiego.***Wieprz i Koń.**

W końcu podwórza na pięknym barłogu,

Mieszkał Wieprz ale wcale okazały,

Częścią z natury a częścią z nałogu,

Był on łakomy i pasi brzuch cały :

Rano, w południe, w wieczór o północy,

Żarł z całej mocy.

Gdy zaś w korycie niebyło już strawy,

On się do innej udawał zabawy,

Równie przyjemnej, równie pożytecznej,

W komnacie zewsząd bezpiecznej,

Spał rozciągnięty i niezmiernie chrapał,

A kiedy nie spał, to przynajmniej sapał.

To życie łube i błogosławione,

Tak mu dobrze posłużyło,

Tak to zwierze utuczone,

Roskosznie życie pędziło,

Że wolne pracy wszelakiej,

Z zwieszoną głową i obwisłym uchem,

Jak gdyby pralat z kapituły jakiej,

Wlokło po ziemi wypełnionym brzuchem :

Lecz niestety, wśród tego i jadła i spania,

Któżby rzekł, że na łonie zbytku, próżnowania,

Nasz Wieprz szczęśliwy, od doby do doby,
Najokropniejszej doświadczy choroby:
Nudy i spazmy, jakieś nerwów bicie,
Niežnośnem samo sprawiło mu życie.
Raz gdy leżał i sapał, przybyły gościńcem,
Jeździec uwiązał konia tuż po za świnińcem:
Patrzy Wieprz z zadziwieniem, że Koń chociaż zgrzany,
Dużo nawet zmordowany,
Zarżał wesoło, dziarski, postacią szczęśliwą,
Grzebał ziemię kopytem i potrząsał grzywą.
Zdziwion, a nawet zazdrosny,
Tak się do Konia odzywa Wieprz sprośny: —
„Powiedz mi, jakiej przypisać przyczynie,
Że zazwyczaj wszystkie Świnie,
Ja Wieprz co nigdy niczem się nie trudzę,
W pośród dostatków niezmiernie się nudzę;
A ty, któremu nie wychodzi z pyska,
Twarde wędzidło, siodło grzbiet uciska,
Przecież jesteś wesoły, i zdrów i szczęśliwy?” —
„Wraz ci objaśnię te tak wielkie dziwy,
— Koń mu odpowie, — gdy cię tak obchodzą:
Wiedz, że się nudy z próżnowania rodzą,
Że praca tylko czynnemu udziela,
Czerstwego zdrowia, i sił i wesela.“ —

1. Lipca 1813. w Karlsbadzie.

D A J K A III.

*Oryginalna.***Owca i Sarna.**

Jak miło człeku po długiem rozstaniu,
 Po długiem w obcych krajach przebywaniu,
 Gdzie nawet swego niesłyszał języka,
 Kiedy kochanych ziomków napotyka,
 W ten czas już trosków zapomni połowe,
 Wszystko co słyszy, jest ważne i nowe,
 O tysiąc rzeczy pyta razem chciwie,
 Cieszy się, dziwi, lub rozrzewnia tkliwie:
 Jam tej słodyczy doświadczył niedawno,
 Gdym z Polką grzeczną, światłą, i zabawną,
 W Saint-Germain, wiejskiem spotkał się mieszkaniu.

Po uprzejmem przywitaniu,
 Rozmawialiśmy nie podług zwyczaju,
 Mało o sobie, lecz, wiele o kraju:
 Co za los jego, co za przetrwał burze,
 Dalej o wierszach, i literaturze
 Wszczęła się mowa, jakie są autory?
 Czyli się szarpią złośliwemi pióry?
 Co za ich dzieła, czyli je kto czyta?
 A WaćPan, grzeczna dama mię zapyta
 Czyliś co pisał, w swojej Ameryce?
 Ja na to: wyznam pani dobrodżice,

Że pisać czasu nie miałem,
 Daleko więcej w ogrodzie kopałem,
 Mam przecię Bajkę i jedną i drugę,
 Przeczytam pani, nie są one długie.
 Gdym skończył, ona zdanie swe ukryte,
 Słodzi uśmiechem, pochwały mi daje,
 Z miną atoli, co się mówić zdaje:
 Nie bardzo twoje wiersze wyśmienite.

Po niejakej potem dobie:

„I ja też, rzecze, wczora chodząc sobie,
 „Po owej łące, i ciemnej dombrowie,
 „Ułożyłam w mojej głowie,
 „Treść jednej Bajki, i niezgorszej może:
 „Pisać ją, ach broń mię Boże,
 „Nadtom do tego leniwa;
 „Lecz jeżeli ci się myśl zdaje szczęśliwa,
 „Ułóż wierszami błachą mą ośnowę.“

Wtem opowiada rzecz całą.

Ja widząc dobry morał, myśli nowe,
 Biorę me pióro, i ręką nieśmiałą,
 Piszę po niżej, co czytać będziecie:
 Czyli w tem dobre, czyli złe znajdziecie,
 Mnie to nie ściągnie zalety, ni plamy,
 Cała rzecz wyżej pomienionej damy.
 W pisaniu duch mię pychy nie zaślepiął,
 Ona sens dała, jam rymy poczepiał.

W dalekiej stronie zjednoczonych stanów,
 Wśród ciemnych lasów, przy ciekącej wodzie,

Młody gospodarz na swojej zagrodzie,
Miał piękną trzodę Owiec i baranów :
Swobodnie one na zielonej łące,
Szczypały trawkę i zioła pachnące,
Pod rozsądnego dozorem pasterza.
Tuż w lesie była moc różnego zwierza,
A Sarn najwięcej: jedna z nich dość śmiała,
Wysmukła, przystojna wcale,
Z jedną z tych Owiec ściśle się poznała,
Tak dalece że w upale,
Nieraz pod cieniem jedna przy drugiej leżały,
I żując, poufale z sobą rozmawiały.
Długo się Owca rozszerza,
O swych wygodach, o szczęśliwym stanie,
Jak różny byt jej od dzikiego zwierza,
Jak czule Pasterz, miał o niej staranie:
„Niepójmiesz, rzecz, moja ukochana,
Co to za szczęście mieć pana!
Niedość, że latem pasza i zagrody,
Lecz w zimie nawet pełno siana, wody,
Pełno wszystkiego, i gdy mrozy lodem,
Zetną krynice i rzekę,
Kiedy wy stworzenia dzike,
Często srogim mrzecie głodem,
Przejęte zimnem, lub strachem;
My Owce ciepło leżemy pod dachem.“ —
„Wszystko to dobrze, odpowiada Sarna,
Pewnie że wasza szczęśliwa jest doba,
Przecież rzecz jedna mnie się niepodoba,
(Może to uwaga marna)

Widziałem jednak, że gdy Owca z drogi
Zboczy cokolwiek, natychmiast pies srogi,
Leci, za runo chwyta ją, potrzasa,

A czasem nawet i kąsa,

Jest to prawdziwa zniewaga! “ —

„Fraszki to, Owca odpowie niedbale,

My trzody na to niezważamy wcale,

Dobro społeczeństw, karności wymaga;

Ale pójdź zemną ku mieszkaniom człeka,

Tam skryta będziesz uważać z daleka,

Jakie są jego attencye, jak dbały,

Jak dobrem naszym, zajęty jest cały. “ —

Pod wieczór kiedy Owce drobnym kłusem,

Powracając do obory,

Sarna jednym prawie susem,

Staje tam skryta za ciemne jawory,

Wypukłe, czarne, wytrzysszcza swe oczy,

Wszystko uważa gdy się dzień już mroczy,

Widzi, mlecarka, do ziemi schylona,

Wyciska macior, nabrzmiałe wymiona;

Do przyjaciółki tak się więc odzywa:

„Jaka to grzeczność, co za dobroć tkliwa,

To żeby nawet małe niebożęta,

Niemiały pracy ssać biedne jagnięta,

Człek im gotowe, już mleko podaje. “ —

„Nie tak zupełnie, ja ci niezataję,

Odpowie Owca, że ta wielość mleka,

Nie jest dla jagniąt, ale dla człowieka;

Lecz krople co się w wymionach zostały,

Ssać mogą dzieci, żeby niezdychały. “ —

Po chwili, znów się zastanawia zwierze,
Patrzy, aż ostrzą nożyce pasterze,
Strzygą barany aż do samej skóry:
„To przecie znakiem jest dobrej natury,
Zawoła Sarna, od tego ciężaru,
Uwalniać trzodę w śród letniego paru,
Bo jużćć prawda, z tą wełną wisząco,
Musi być owcom niezmiernie gorąco;
Jest to prawdziwie grzeczność delikatna.“ —
„Zapewne, rzecz Owca, nam wełna niezdatna,
Dlatego człek ją z grzbietów naszych zdziera,
I potem siebie ubiera.“ —
Chociaż te wszystkie starania gorliwe,
Zdały się Sarnie nieco podejrzliwe,
Gdy w każdym widziała sposobie,
Że człowiek tylko sam myślał o sobie,
Przecież i reszty chcąc się dowiedzieć,
Rzecz: — „Moja kochana, możesz powiedzieć,
Co są te skopy tuczone,
Czarną kreską naznaczone,
Co ów człek z okropnym wzrokiem,
Powolnym prowadzi krokiem?“ —
Owca z westchnieniem co serce przenika:
„Te skopy, rzecz, pędzą do rzeźnika:
Człek nas zabija, a potem nas zjada.
Nie jest w tem okrucieństwo, ani żadna zdrada:
Ten, co przez życie łask tyle odbiera,
Chętnie za pana swojego umiera,
Za niego (tak nas prawo nauczyło)
Dać się zarznąć, każdemu baranowi miło.

Ach! jaką chlubą, jakim to honorem,
Lać krew pod nożem, albo też toporem!“ —
Dłuższaby jeszcze Owca w swym zapale,
Szerzyła mowę, lecz Sarna przerwała:
„Z wszystkiego, rzecze, com tutaj widziała,
Roskoszy twoich niezazdroszczę wcale:
Czyś w mowie twojej, szczerą czy fałszywą,
Pod twoim panem, żyj sobie szczęśliwa;
Ja wracam nazad, lepsza puszcza dzika,
Niemasz tam wygod, lecz nie masz rzeźnika.“ —

20. *Lipca 1807. w St. Germain.*



B A D A XX.*Naśladowana z Gellerta.***Komor i Mucha.**

Niech rycerzy wiekopomnych,
 Głoszą światu wieszczę duchy,
 Ja opowiem w rymach skromnych,
 Śmierć Komora, i śmierć Muchy;
 Jeden z nich zginął jak Ikar szalony,
 Druga jak bibosz winem rozmarzony.
 Spragniona Mucha, widząc koło dzbana,
 Że stała szklanka w polowie nalana,
 Złotozielone skrzydła rozpościera,
 Siada na szklance, gdzie była madera,
 Długo na brzegu patrzy, i rozważa,
 Bezdenność oceanu strasznie ją przeraża;
 Lecz coraz bardziej połykając ślinę,
 Powoli po szkle, spuszcza się w głębinę,
 Pije naprzód dla pragnienia,
 Potem dla rozweselenia,
 A potem stworzenie płochę,
 Pije trochę i znów trochę,
 Wreszcie traci przytomność, chwiejająca się, blada,
 W szklankę upada,
 Długo się grzebiąc po głębokim płynie,
 Nakoniec ginie.

Komor patrzący na zgon nieszczęśliwy,
Dość z natury gadatliwy,
Zwłaszcza gdy o cudzej biedzie,
Zaczął rozprawiać w sposób dosyć snadny,
Do czego to Muchy wiecie,
Pijaństwa nałóg szkaradny:
Jak można roskosz zakładać w szklenicy!
Ja nigdy wina kropli nie skosztuję,
W świetle me szczęście, mą roskosz znajduję:
To mówiąc, leci do świecy,
W koło kręci się chyży,
Ułudzony przez światelko,
Coraz bliży, coraz bliży,
Raz nóżkę, znowu skrzydełko
Porządnie sobie osmali,
Nakoniec cały się pali.

Nędzne stworzenia, żal mi was prawdziwie,
Na samej rokoszy łonie,
Zginęłyście nieszczęśliwie,
Czemuż się dawać uwodzić obłudzie!
To tylko w waszej rzecz można obronie:
„Biedne, umarły jak ludzie.“

B A J K A III.*Oryginalna.***Filiżanka.**

„Precz ztąd odemnie, — rzeknie Filiżanka,
 Do glinianego dzbanka, —
 Co tobie w głowie, czyliś ty szalony,
 Z postacią twoją nikezemną,
 Bratać się zemną!
 Patrz, jak mój cały obwód wykształcony,
 Jakiem misterną zdziałana robotą,
 Od głowy do stóp u mnie płynie złoto!
 Każdy spogląda na mnie z podziwieniem,
 I niezbliża się, jak z drżeniem.“ —
 Dzban jej odpowie: — „Skończ wymówki twoje,
 Wszakżeśmy z gliny oboje;
 Z tą tylko chyba różnicą,
 Że się na tobie marne fraszki świecą:
 Że stoisz próżno, lub służysz do zbytku,
 A ja służę do użytku.“ —
 Przypadkiem chłopek zbliżony,
 Słyszając tę rozmowę z dzbanem,
 Sądziłem, rzeknie do żony,
 Że to ja gadałem z panem.

3. Kwietnia 1809.

B A J K I.

KSIEGA CZWARTA.



B A J K I.

K S I Ę G A C Z W A R T A.

B A J K A I.

Oryginalna.

Orzeł i Sroka.

Orzeł, co trzyma Jowisza pioruny,
I samych niebian towarzyszy godom,
Co gdy Bellona puści swe bieguny,
Drogę do zwycięstw wskazuje narodom :
Orzeł szlachetny, znany z dzielnej mocy,
Świat okrążywszy usiadł na północy.
Tam bystre oczy spuszczaając na ziemię,
Ujrzał, że skrzydlate pleię,

Okrutne sępy szarpały :
W uczuciach swoich wspaniały,
Zuchwalców w strony odpędza dalekie,
I ptastwo pod swe przyjmuje opiekę ;

Zabrzmiały gaje wdzięczności pieniami,
Ruchając skrzydły, deptając nóżkami,
Ptaszęta radość swą ukazywały;
Ale niedługo te radości trwały,
Niedługo trwała spokojności święta!
Jak ludzie, tak też ptaszęta,
Jeżeli w łonie swem mają cnotliwych,
Mają zawisnych, i złych, i kłótliwych.
Od Sępa może Sroki namówione,
Lub też z natury do plotek stworzone,
Czy Orzeł czuwa, czy je, czyli zaśnie,
Ustawnie dzikie przynoszą mu baśnie,
Jedna zaczyna: — „Już zabrakło żyru;
„To wszystko winą tych, co są u styru.“ —
Druga szczebiecze: — „Patrz co za gromada:
„Nie bez przyczyny to ptastwo się kupi.“ —
Trzecia się zbliża i do ucha gada:
„Ten ptaszek zdrajca, ten słaby, ów głupi,
„A ów szczygieł co od nas siedzi niedaleki,
„Co na odgłos twych czynów przyleciał z za rzeki,
„Dawno z łabędziem poufale żyje,
„I coś w umyśle szkodliwego kryje.“ —
Orzeł z natury i prędkie, i żywy,
Choć z resztą z gruntu pocziwy,
Życzący dobra ptaszego plemienia,
Słyszając takie obwinienia,
Słyszając ciąg doniesień długich,
Na biedne ptastwo gniew srogi wywierał,
Kiedy gołab, co na to spokojnie pozierał:
„Nie martw się, rzeczce, i nie martwij drugich,

„Kto jak ty silnym, spokojnym być może,
„Ja słaby, przecież próżno się nie trwożę;
„Te Sroki, plotki z sobą nosząc wszędy,
„Fałsz ci za prawdę, za występki błędy,
„I smutne jakieś podejrzenia nuca:
„Wierzaj mi, próżno spokojność twą kłóca.
„Niebój się ptaszków, ród ten może błdzić,
„Lecz w gruncie dobry, i łatwo nim rządzić,
„Niech słuszna wzgarda szczebietliwość skróci,
„Twoja i nasza spokojność się wróci;
„Zwycięzki Orzeł, na czele zastępów,
„Nie od nas słabych, lecz strzeż nas od sępów.“



B A P I A II.

*Naśladowana z Francuzkiego.***Sułtan i Derwisz.**

Sułtan, którego dziejopis niezowie,
 Nie mógł spać, choć noc była bardzo cicha,
 I to tem gorzej, gdyż mówi przysłowie,
 Kiedy śpi tyran, niewinny oddycha.
 Na próżno nędzny odmienia postawy,
 Raz na bok lewy, drugi raz na prawy,
 Obraca się i narzeka,
 Sen z oczu jego ucieka.
 Zniecierpliwiony, z łoża się porywa,
 Leci do puszczы, kędy Derwisz święty,
 Na rogoży rozciągnięty,
 We śnie łagodnym spoczywa.
 Ten widok, bardziej w Sułtanie rozżarza
 Zazdrość i gniew potajemny:
 „Jakże, rzecze, ten nikczemny,
 Spać będzie, lepiej odemnie mocarza? —
 To mówiąc, by się cokolwiek rozerwać;
 Chciał mu mieczem gardło przerwać;
 Ale się wstrzymał . . . kopnąwszy go w nogę,
 „Nędzny, zawołał, z kąd w tobie ta śmiałość,
 A raczej taka zuchwałość,
 Ty spać ważysz się, gdy ja spać nie mogę? —
 Budzi się Derwisz, widzi zadziwiony,

Że w wielkim gniewie, cały zapyrzony,
Pan Najjaśniejszy z mieczem przed nim stoi;
Lecz, że cnotliwy śmierci się nieboi,

Rzekł mu łagodnie:

„Jakaż Pan we śnie moim widzi zbrodnię?“ —

„Wielką, rzekł Sułtan, ciężkiej kary winien,
Kiedy ja nie śpię, nikt spać nie powinien:

Spisz bez poduszki, pościeli, nakrycia,

A ja, co jestem panem twego życia,

Oka niezmrużę, z kąd twój sen i zdrowie?“ —

„Mniejsza o pościel, Derwisz mu odpowie,

Puchy, wężgłowia złociste:

Snów nam lekkich nie udziela,

Wieszże o Panie, co dobrą pościelą?

Praca i sumienie czyste.

Niech się Pan z sobą zechce porachować,

Czy raczył dobrze panować;

Możesz czasem w złym humorze,

Umieścić głupca jakiego na dworze,

O cudze państwo możesz się pokusił,

Ściął niewinnego, albo też udusił;

Innych podobnych fraszek,

Lub krwawych wojen igraszek,

Pozwalał sobie: wszystkich takich rzeczy,

Strzed się potrzeba, i mieć w czulej pieczy:

Bo chociaż Wezyr inaczej doradza,

Wierz mi, zgryzota bardzo spać przeszkadza.“ —

8. Sierpnia 1811. w Wilanowie.

B A D K A III.

Naśladowana z François Neufchateau.

Wesele Wilka.

Młody Wilk sprzykrzywszy sobie,
 Sam jeden leśne zwiedzać okolice,
 Umyślił, w wiosennej dobie,
 Pojść w małżeństwo Wilczycę,
 Piękną, nadobną, i grzeczną;
 Zatem przez miłość stateczną,
 I starania niewatpliwe,
 Umiał kochanki dotknąć serce tkliwe,
 Zyskał jej słowo, nieczekając wiele,
 Dzień oznaczył na wesele;
 A chcąc obchód tego święta,
 Odprawiać z pompą w największym wytworze,
 Zaprosił wszystkie zwierzęta,
 Co ich tylko było w borze,
 Mniesza, że łosie, niedźwiedzie,
 Miały być na tym obiedzie,
 Lecz się nie mało zdziwiono,
 Widząc owcę zaproszoną.
 Ale na to zaproszenie,
 Uczuło biedne stworzenie,
 Niejakąś w sercu obawę:
 Lękało się, że pan młody,

Zapraszający na gody,
Nie tak za gościa, jak ją życzył za potrawę:
Wielki więc kłopot, bo przyjść niebezpiecznie,
Odmówić bardzo niegrzecznie:
Niema żartów z wielkim panem,
Iść trzeba kto jest wybranem.
Więc gdy dzień przyszedł godowy,
Idzie owieczka po rozum do głowy;
Za kawalera na gody,
Bierze Brysia, stróża trzody,
Brysia co ma szerść wysoką,
Obróż na szyj i surowe oko,
Co w polu, pomiędzy krzaki
Dał się Wilkowi we znaki.
Wilk widząc takiego swata,
Skrzywił się bardzo, ale że układny,
I znał ton wielkiego świata,
W sposób wesoły i snadny,
Mówi do owcy: — „Moja Mościa pani,
Wiedzieć musiałaś już wprzód,
Że na te weselne gody,
Wszyscy osobnym biletem spraszani,
I że wiernie zwyczajowi,
Każdy u drzwi szwajcarowi,
Bilet musiał pokazywać:
I czemuś się do tego nie chciała stosować?
Jeszczeż dla jakiej figury,
Dla takiego brutala, dla takiego gbury,
Z którym owcy tak słusznej w samej wieku kwiecie,
Wstydziliby się potrzeba pokazać na świecie.“ —

Tu bryś zawarczał; wszyscy patrząc smutni,
Owca bojąc się by ztąd nie przyszło do kłótni;
Tak się odezwie: — „Miłościwy panie,
Przychodząc tutaj na twe rozkazanie,
Jak obyczaj, jak dobra naucza maniera,
Potrzebowałam gwałtem kawalera;
Jak mąż mój umarł, niechaj Bóg mu świeci,
Bryś opiekunem został moich dzieci:
A że już w wieku, ze wszech miar bezpieczny,
Był tak dobry i tak grzeczny,
Że mi łapę podać raczył.

Jeżliś mu panie tego niewybaczył,
Niechając na uczcie sprawować nieładu,
Wraz wychodzę bez obiadu.“ —
To mówiąc jak była przyszła,

Ukloniła się i wyszła.

Młode piękności, których łube wdzięki,
Są źródłem naszych i słodycz i męki,
Niech was ta owca roztropności uczy,
Niechaj się żadne płocho nieporuczy:

Jeżeli was elegant jaki,
Zaprośi na kurczęta, albo też na raki,
Na wieczerzę, bankiet suty,
Osobliwie na reduty,

Niechodźciesz same, zwłaszcza szarą dobą,
A gdy pójdziecie, weźciesz Brysia z sobą.

20. Maja 1815. w Wilanowie.

BAJKA IV.

*Oryginalna.***Hortensya, kwiat tak nazwany.**

Potrzebując u krawca nowego ubioru,
Lecz nie u krawca pierwszego wytworu,
Co za kamelar, i płótno klejone,
Pisząc rejestra, dobrze osolone,
A dzierżąc przez lat kilka, igłę i nożyce,
Kupują piękne wioski, duże kamienice:
Mój krawiec nie jest takim, on w domku drewnianym,
Na przedmieściu mało znanym,
Pracuje tydzień cały, w niedzielę spoczywa,
Słowem, zarabia, lecz nieoszukiwa.
Do takiego więc przyszedłem: lecz że zatrudniony;
Bo właśnie krajał sukna, postaw roztoczony,
Czekałem, aż dokończy, i siadłem przy oknie,
Patrząc, w szklance cybulką narcysowa moknie,
A na koszlawym stoliku,
Stoi Hortensya w konciku:
Ta czy postrzegła, że mnie to zdumiewa,
Tak się pocichu odzywa:
„Dziwisz się może, i nie bez przyczyny,
Ze wśród tej biednej widzisz mnie dróżyny,
Ach! przyjacielu! jaka losów zmiana,
Kiedym z dalekich krajów zawołana,
Pokazała się na tym waszym świecie,
Nic niemówiono, jak o moim kwiecie;

Goździki, różę świetnie okraszona,
Wszystko to za piec wstawiono;
Hortensya tylko, była kwiatem godnym,
I kto nie miał Hortensyi, ten już niebył modnym;

Sadzono w wazach złocistych,

Pojono wodą źrójów przezroczystych:
Zbyt często Kloe, gdy w południe wstała,
Dla mnie, papugi swojej zapomniała.
Dziś patrzaj proszę, co się ze mną dzieje,
Niezważając, czy kwitnę, czyli też więdniję,
Już nie w pokojach, nie na pysznym dworze,

U krawca mieszkam w komorze. “ —

To mówiąc, gdyby mogła, byłaby płakała,
Patrząc, jak biedna cierpiała,
Rzekłem jej tonem powolnym: —
„Los twój acz srogi, jest z innemi wspólnym;
Wierz mi, na świecie, widzimy to sami,
Co z ludźmi, to i z kwiatami.
Widziałem nie jednego, co z dalekiej strony,
Kiedy przybył, był z razu, niezmiernie ceniony:

Wszędzie go pilnie szukano,

Ściskano i całowano.

Nie było bez niego święta,
Wyrwali go sobie szlachta i książęta;
Lecz gdy go wieku szrony obsypały,
Kiedy modniejsze figurki nastały;
Ten co był niegdyś tak cudnym,
Został i głupim i nudnym.

Dawnej zasługi pamięć się utraca,

A nowość tylko popłaca. “ —

B A J K I V.

*Oryginalna.***Iskra.**

Wy, których losy spiknione,
Nieprzestawały uciskać,
Kiedy dobro utracone,
Potrafiacie nazad zyskać,
Choćby i w części najmniejszej,
Uczcie się z Bajki niniejszej;
Jak ten szczątek pielegnować,
Jak kroki wasze do tego stósować;
Ażby pracą, i bacznością stała,
Wrócić z czasem zgubę całą.
Dziejopis Króla Popiela,
Następującej powieści udziela;
W te słowa treść jej opiewa:
Gdzie Gopło lśnące powódzie rozlewa,
A lasem droga mało co dostępna,
Stała od wieków świątyni posępna.
Niebył mieszkańcom znany zakon Pański,
Lud w koło bitny, lecz jeszcze pogański,
Czczył jedynie ogień święty;
Uszanowaniem przejęty,
Miał on w nieustannej pieczy,
To źródło życia, tę istność wszech rzeczy.

Czy Febus słońca podwoje otwierał,
Czy na świat nocy cienie rozpościerał,
Palił się ogień wśród świętej przestrzeni,
Mniej, albo więcej jasnymi płomieni;
Lecz z czasem kapłani niedbali,
Czyli że ogień dość niepodsyćcali,
Czyli, jak inni twierdzą z zapewnieniem,
Okropnym ziemi trzęsieniem:
Gmach się zapad, i górne wałąc się sklepienie,
Gasi ogniska tlejące płomienie,
Padła noc straszna, zniknął żywioł drogi:
Mieszkańcy pełni rozpacz i trwogi,
 Bez pomocy i sposobu,
 Błakali się w cieniach grobu,
 I brat brata niepoznawał.
Już się nadziei żaden niepodawał,
Gdy Rycerz, co wielkimi dał się poznać czyny,
 I świat napelnił sławy swej odgłosem,
Ciągnąc z hufcami przez owe krainy,
Ulitował się nad nieszczęsnych losem;
 Wszedł do świątyni, kędy lud się smucił,
Tam ogromnego dobywszy bulata,
Którym odmienił całą postać świata,
 I mocarstw tyle wywrócił,
Uderza w kamień, ten się w pół rozpada,
Pod ciosem Iskra błyszcząca wypada:
On ją podnosi kładzie do ogniska,
A radość wszystkim łączy z oczu wyciska.
W ten czas spuszczaając mąż ów oręż złoty,
O to rzeczce, jest Iskra drogiej wam istoty,

Mała, słaba, zaledwie z życiem się passuje,
I jak najczulszych starań potrzebuje,
Zaginać może nieostrożnym ruchem,
Umieście czystym zasiląć ją duchem,
Strzeżcie od wichrów, bo wicher ją zgasi,
Doznali tego już ojcowie wasi:
Waszą pomocą, i mojem ramieniem,
Ta Iskra z czasem stanie się płomieniem;
Najpochlebniejsze uści nadzieje,
I dawnym blaskiem znowu zajaśnieje.

16. *Września 1807. w Dreźnie.*



B A D A N I A VI.

*Oryginalna.***Mrowisko.**

Wśród srogiej burzy, wśród wichrów szalonych,
Czyniących sobie z wszystkiego igrzysko,
W liczbie niw bujnych, i lasów zielonych,
Zginęło także przy drodze Mrowisko.
Od gór Karpackich, kędy Bełt, gdzie Tatry,
Często przeciwne, lecz w tem zgodne wiatry,
Rozszarpały, rozniosły, w rozmaite strony,
Nieszczęsnych Mrówek, stós nieopatrzony.
Długo ta burza trwała, bo chociaż na chwilę,
Wiatr jaki w potężnej sile,
Skupił cokolwiek Mrówek, pod innem imieniem,
Znów były ugodzone powszechnem zniszczeniem.
Więc rozpacz sama: nie było i śladu,
Gdzie dawniej czynne mieszkały stworzenia:
Zawieruchy, nachody obcego owadu,
Na dawnych zbiorach, znaki wyrwały zniszczenia.
Wtenczas niejedna Mrówka, jak Eneas drugi,
Wziąwszy w pyszeczek zdziebelko, przez pola przez strugi,
Wolała nieść swą żalność, w obcą jaką ziemię,
Niżli widzieć w ucisku swych spółziomków plemię.
Pozostałe na miejscu, ostatki drużyny,
Żyły smutnie, na kolcach opadłej jedliny,

Niemniemając już widzieć dawnego Mrowiska!
Gdy niespodzianie słońce od północy błyska,
I tenże sam Akwilon, co przed wielą laty,
Najokropniejsze Mrówkom, zwykł zadawać straty,
Dzisiaj zmeniwszy srogość dawnej swej natury,
Rozpędza gromadzone na około chmury,
I dobroczynnem tchnieniem, co krzepi, zagrzewa,
Rozeszle Mrówki, w dawne siedlisko zawiewa.
Radość była nie mała, lecz w pośród radości,
Przyzwyczajone Mrówki, do losów srogości,
Do zawodów, gdzie były słodkie spodziewania,
Obok wesela, bojaźń i powątpiewania,
Łączyć jeszcze zdały się: — „Połowy nas blisko
„Niegromadzi, mówili, dzisiejsze Mrowisko,
„Czyliż zawsze Akwilon, będzie tak łaskawy?“ —
Słowem jakieś wachanie, i jakieś obawy:
Bo kogo los okropny gnębić nie przestawał,
Ciężko, żeby się łatwo ufności podawał!
Wtem, jedna stara Mrówka, cnoty znakomitej,
Słowem, Kato tej małej Rzeczypospolitej,
Widząc to, a dobrego żądając gorąco,
Wlazła na słomkę, na cał od ziemi sterczącą,
A spojrzawszy na mnóstwo stojące w około,
Dwakroć łapką sędziwe pomuskawszy czoło,
Choć głos wieku zwątlony, nieraz jej przerywa,
Tak się do zgromadzonych swych ziomeków odzywa:
„Szanowne Mrówki, mógłże przed niewiele laty,
„Gdyśmy opłakiwali ciężkie nasze straty,
„Mniemać kto, że czas przyjdzie, gdzie przez Niebian
wołę,

„Wolno nam będzie zejść się w narodowym kole,
„Odzyskać imię Mrówek, swego przewodnika
„Mieć jeszcze, i własnego używać języka;
„Przecież przyszło to szczęście, my jednak niebaczne,
„Niezważając, że dobro zyskane już znaczne;
„Trapiemy się, i skargę szerzymy zuchwałą,
„Że Mrowisko nie takie, jak przedtem bywało:
„Boleść naszą, stracił tylu łatwo ja pojmuje,
„I nikt jej żywiej nademnie nie czuje.
„Niepamiętacie młode: trzysta ciałów blisko,
„Rozciągało się niegdyś to nasze Mrowisko;
„Mrówka, co we dniu jednym ujść może tak wiele,
„Z granicy do granicy szła przez dwie niedziele;
„Tę wielkość naszą, z żalem przypominam sobie,
„Lecz cóż się stało, o to wszystko legło w grobie;
„I Mrówki, i Mrówisko zginęły ze szczeniem!
„Dzisiaj, gdy łaską Niebian, trafem niepojętem,
„Część nas znaczna powraca; Ach! nie bądźmy ślepi;
„I dlatego, że pewnie mogłoby być lepiej,
„Nie cieszyć się, że dobrze, i nie być wdzięcznemi.
„Któżby chciał rozdzielać się z bracią kochanemi?
„Któżby niechciał by własność, wróciła się całą?
„Lecz nie jeden wiatr tylko, trzy nas rozszarpało.
„Ten co wszystko utracił, co go los uciskał,
„Nie rozpacza, cieszy się, że już część odzyskał.
„Dziś z obecnego dobra, korzystać gotowi,
„To co życzyć zostaje, poruczymy czasowi;
„Zaniechajmy skarg naszych, nic to nie pomoże,
„A nieroztropna mowa, wiele szkodzić może.
„Jeżeli kto z was tak mądry, i znalazł sposoby,

„I wie jak rzeczy wrócić, do szczęśliwej doby,
„Niech myśl poda, a jeśli ta z rozsądkiem zgodna,
„Wraz się jej chwyci każda Mrówka nieodrodna.
„Ale na błędne światło oczy nasze zwracać,
„Dla snów zwodniczych, dobro rzetelne utracić,
„Jest obłąkaniem, co w nas długo trwać nie może:
„Długośmy się puszczały w niepewne bezdroże,
„Czas nie słowy, dzielnymi zaprzęgnąć się czyny,
„Uprzątajmy zwaliska, podnośmy ruiny.
„Niech każda pracowicie, znosi z okolicy,
„Kolce z jodeł, zdziebełka, kawałki żywicy:
„Pracą tylko Mrowisko podniesie się w górę,
„Wypogodźmy więc czoło, zbyt długo ponure;
„Nie w marzeniach, zkaż dla nas wiatr już niezawieje,
„W cnocie, rozsądku, męztwie, są nasze nadzieje.“ —

20. Czerwca 1815. w Wilanowie.

B A S T A VII.

Naśladowana z Angielskiego przez W. Couper.

Nos i Oczy.

I.

Miedzy Oczyma, i wypukłym Nosem,
 Wszczęły się wielkie, i kłótnie, i swary,
 Rzecz szła by wiedzieć prawem, a nie losem,
 Komu należeć miały okulary.

II.

Język jak patron wziął Nosa obronę,
 Wymownie sprawę przekładając całą,
 A ucho, równie pilne jak uczone,
 Qua prez es sądu, dowodów słuchało.

III.

Wrzeszczał więc szybki język: Sądzie Najjaśniejszy
 W pośród tylu dowodów, ten jest najważniejszy:
 Że Nosy okulary od dawna nosiły,
 Przeto własność im same lata zapewniły.

IV.

Tu okulary podnosząc do góry,
 Czemużby, rzeczy, te zagięcia miały?

Dla tego, żeby kształtem swej struktury,
Jak na koniu kulbaka, na Nosie leżały.

V.

Wszak się podobno rzecz taka widziała,
Niech sąd daruje, że to będę wnosił,
Gdyby przypadkiem twarz Nosa niemiała,
Pytam się, któżby okulary nosił?

VI.

W indukcje prawdy niechybiłem włosa,
Kończę bez dalszych dowodów i swarów,
Że okulary stworzone dla Nosa,
A Nos stworzony jest dla okularów.

VII.

Na drugą potem zwróciwszy się stronę,
Język, jak patron do pieniactw ochoczy,
Przeciwną pierwszej wprowadza obronę,
Twierdząc, że równe mają prawo oczy.

VIII.

Sąd co trudności na próżno nie mnoży,
Tak głosi wyrok mądry i niewinny :
„Że Nos ilekroć okulary włoży,
„Natychmiast Oczy zamknąć się powinny.“ —

27. Kwietnia 1807. w Ameryce.

B A Ź K A VIII.

Naśladowana z Angielskiego z Gay.

Lew i młody Lewek.

Im mniej talentów, tem próżności więcej,
 Tem więcej rządzi znaczenia,
 Nietylko ludzie, lecz i ród zwierzęcy,
 Tysiączne tego sprawdzenia,
 Dają dowody: nie jeden z bazgraczy,
 Gdy mu głupi poklaskuje,
 Już mniema, że w uczonym świecie wiele znaczy,
 A nie wie, że rozsądny nad nim się lituje.
 Z tych, jeżeli który dobrze czytać umie,
 Może następną Bajeczkę zrozumie:
 Lwiątko przez skłonności zdrożne,
 Zarównie głupie jak próżne,
 Społeczność podłych bestyi lubiło,
 A od rozumnych stroniło;
 Chciwy pochlebstwa, sam płocho wyniosły,
 Najbardziej lubił towarzyszyć z osły:
 Na ich wszystkich zgromadzeniach,
 Kłóbach, i posiedzeniach,
 On prezydował: takie obcowanie,
 Sprawilo, że ich mowę, wyrazy, i zdanie,
 Tak przejął sposobem żywym,
 Że oprócz uszu, był osłem prawdziwym.

Jeżeli żart jaki chciał powiedzieć płaski,
Wprzód nim powiedział, już liczne oklaski,
Za każdym słowem, cała trzoda krzyczy,
Ach! jak on naturalnie, jak on pięknie ryczy.
Uniesiony aplauzem pochlebniejszej rzeszy,

Lewek nasz do ojca spieszy,
A rad się z swemi popisać talenty,
Tak ryknął w sposób straszny, niepojęty,
Ze Lew osłupiał: — „Ach! co to ja słyszę,
Rzeknie, po głosiem poznał towarzysze,
Z którymi głupcze przestajesz!“ —
„Czemuż mnie ojcze, tak surowo łajesz?
Odpowie Lwiątko: — poczet osłów tłumny,
Powiada: żem ja jest bardzo rozumny.“ —
„Milcz, Lew zawołał, wśród motłochu wzrosły,
Nie dziw, żeś próżny, gdy cię wielbią osły:
Lecz wiedz, że kto jest od osłów chwalonym,
Ode Lwów będzie wzgardzonym.“ —

B A J K A III.

*Naśladowana z Floryana.***Pies winowajczy.**

Czy wiesz braciszku, co się u nas stało?

W tym lesie po nadwieczorem,
Ów bryś, co to był, wszystkich kundlów wzorem,
Zjadł naprzód jagnię, potem owcę białą;
A gdy pasterz wpadł złękniiony,
I na niego się rzucił, jak gdyby szalony!
— Czy to być może? — I jam powątpiewał,
Ktoby się tego po brysiu spodziewał;
Ale rzecz pewna. — Tak idąc w zagrodę
Mówiły z sobą, dwa barany młode:

Jakoż niebyło, wątpliwości żadnej

O tej zbrodni tak szkaradnej:

Bryś na uczynku schwytany,

Okropnej czekał już kary,

Gdyż gospodarz zagniewany,

Domagał się tej ofiary,

Dla postrachu kundlów drugich:

Nie było induktu, ani replik długich,

Ze stu świadków sprowadzonych,

Na przeciw sobie stawionych,

Żaden nieprzeczył, wszyscy z sobą zgodni,

Podwójnego zabójstwa psa winnym uznali,

I jednomyślnie skazali,
Na rozstrzelanie w samym miejscu zbrodni.
Już cała włość się zebrała,
Gdzie egzekucya być miała.
Młode jagnięta, co brysia lubiły,
O przebaczenie ze łzami prosiły;
Lecz sąd odmówił. — Już woźni krzyknęli,
By psy, i owce, w około stanęli,
Każdy swe miejsce zabiera,
A każdy kundel z ogonem zwieszonym,
Z okiem łzami napelnionym,
Na nieszczęsnego spoziera,
Nie śmiejąc z zguby wyrwać towarzysza.
Tu gdy okropna panowała cisza,
Gdy srogiej chwili, co już niedaleka,
Z ściśnionem sercem każde zwierzę czeka;
Dwóch pasterzy, (jak sądu rozkazała władza),
Na miejsce śmierci brysia wyprowadza.
Na ten widok, głębokie słyszano westchnienie,
Po którym martwe milczenie.
Bryś je przerywa słowy nieśmiałości,
(Gdyż i w odważnym śmierć pobudza trwogę);
„O wy, których ja, już nazwać nie mogę
„Towarzyszami, przyjaciołmi memi,
„Co mi dając dowody uprzejmości bratniej,
„Chcieliście być świadkami mej chwili ostatniej,
„Nich zgon mój dla was, przykładem się stanie,
„Patrzcie, jak pierwsze chuciom się poddanie,
„W dalsze zbrodnie prowadzi: — byłem psem pocziwym,
„Dziesięć lat panu, i trzodzie życzliwym,

- „Kiedy jeden przypadek imię moje skaził,
„I na śmierć pewną naraził.
„Wczoraj pod lasem, gdym pilnował trzody,
„A zniżone już słońce, złociło te wody:
„Patrzę, wilk jagnię porywa,
„Uchodzi, i uchodząc w szmaty je rozrywa;
„Puszczam się za nim, dopędzam, obalam,
„Resztę jagnięcia ocalam.
„Aż dotąd dobrze: lecz to mięsko świeże
„Gdy leży, patrzę, naprzód się przybliżę;
„Powącham trochę, bardziej się wpatruję,
„Potem cokolwiek skosztuję;
„W reszcie zgłodniały, grzechu zapominam,
„I jeść zaczynam.
„Ten był nieszczęścia mojego początek,
„Ten przetnie dni moich wątek,
„Bo gdym jadł, owca nadbiegła,
„A skoro jagnię w zębach mych postrzegła,
„Jak czuła matka, jęła rzewnie beczyć,
„Skarżyć się na mnie, złorzeczyć:
„W bojaźni by mnie matka, wśród swego przejęcia,
„Nieobwiniąła o mord, własnego dziecięcia;
„Chcąc do milczenia niebogę przymusić,
„Postanowiłem ją także udusić . . .
„Ledwie udusił: — Pasterz wylatuje z kniei,
„W tenczas bez żadnej pardonu nadziei;
„W ciężkiej rozpacz, o nie się nie pytam,
„I pasterza za pierś chwytam:
„Lecz wkrótce w pośród ślepego zapalu,
„Związawszy mnie, oddano wraz do kryminału.

„Umrzeć więc muszę: o wy! kundle łube,
„Co patrzycie na mą zgubę!
„Wy, co jeszcze na tym świecie,
„Długo po mnie zostanieie:
„Bądźcie imienia psów godni,
„Miejcie tę prawdę na celu,
„Łatwiej od jednej powściągnąć się zbrodni,
„Niż jedną popełniwszy, nie popełnić wielu.“ —



B A P I A X.

*Oryginalna.***Pszczoly i Truteń.**

Rzecz okazana doświadczeniem długim,
 Ani jej trzeba próbować,
 Że stokroć łatwiej przyganiać jest drugim,
 Niżli samemu pracować:
 Może ta powieść, choć ma postać baśni,
 Lepiej tę prawdę wyjaśni.
 Gdzie stały lipy, wonne, rozłożyste,
 Gdzie w koło smugi kwieciste,
 Gdzie płonęła polna róża,
 Była pasieka nie duża:
 W niej Pszczoly, zwykle do czynnej roboty,
 Tem się usilniej trudniły,
 Że zima, burze i słoty,
 Dawne ich ule zniszczyły,
 Młode im roje odpadły,
 Miód kosmate Trutnie zjadły:
 Przyszło więc sobie ciężką pracę zadać,
 I gospodarstwo na nowo zakładać.
 Miłym to było widokiem,
 Patrząc na tłumne ich kupy,
 Jak kwiecistemi obciążone łupy,
 Nim się dzień zasuwał mrokiem,

Wracały w łube zagrody,

Tam jedne woski, drugie słodkie miody,

Składały w ule: inne dla królowej,

Pyszne zamku, wznosiły budowy:

Pomimo przeszkód, choć połowa zbioru,

Na rzecz się Trutniów obraca,

Od rana, aż do późnego wieczoru,

Z żywym pospiechem szła praca.

Sądziły małe stworzenia,

Że już nagrodzą dawne spustoszenia,

I to podniosą, co czas poobalał.

Gdy się im każdy dziwił i wychwalał,

Truteń na boku siedzący,

Truteń dumny, próżnujący,

Co jedząc pracą Pszczół zebrane miody,

Siał niesnaski, i niezgody;

Przyganiał Pszczołom, mówił uszczypliwie:

„Wszystko nie dobrze, źle i niegodziwie;

„Bo zacząwszy od królowy,

„Która do rządu wcale nie ma głowy,

„Jakież jej ministry płatne,

„Rozlazłe, głupie, niezdatne:

„Jakże dziwować się temu,

„Że już Bóg wie po jakimu,

„Idą u nas wszystkie rzeczy,

„W jakiej całość nasza pieczy;

„Wszystko te Pszczoły zagubią.

„Jakby się rzeczy inaczej szczęściły,

„Gdyby to Trutnie ministrami były.“ —

Pszczoly, co więcej czynią, niż się chlubią,

„Pódź, rzekną, pracuj, a będziem się cieszyć,
„Jeżli nam dzieła, pomożesz przyspieszyć.“ —
Porwał się Truteń, pełen zaufania:
Wkrótce pokazał, że z tylą gadania,
Nie umiał z wielą głębokich zachodów,
Ni lepić wosku, ani sączyć miodów,
Ni nawet przynieść wody, choć kropelkę: —
„Na cóż się zdadzą, łajania tak wielkie, —
Rzekły mu Pszczoły, — sam chciałeś spróbować,
„Przyznaj, że łatwiej ganić, niż pracować.“ —

1. Lipca 1811. w Adamkowie.



B A J K A X X I.

*Horat. Serm. Lib. II. Satyra VI.***Szczur miejski i wiejski.**

Niegdyś Szczur wiejski, do swej w polu nory,

Miejskiego Szczura zaprosił,

A chociaż skrzętny, kiedy szło o zbiory,

Co z potem czoła poznosił,

Jednak dawnego widząc przyjaciela,

Co miał w komorze, hojnie mu udziela;

Stawia przed gościem wszystkiego po trochu,

Kilka ziarn owsa, przy nich kilka grochu;

Inne polowe jarzyny,

Nawet kawałek ogryzłej słoniny;

Rozmaitością chcąc mierność zastąpić,

Nieznał, co to jest dla siąsada skąpić.

Ale Szczur miejski w zbytkach nauczony smakować,

Gardzącym zębem, ledwie coś raczył skosztować;

Nakoniec tak mu rzecze: — „Na co ci się przyda,

To nędzne życie i bieda?

Mieszkanie w głuchym lesie, w tej poziomej budzie,

Chceszże poznać, co to są i miasta i ludzie?

Póđż ze mną: życie krótkie, czy wielki czy mały,

Umierać musi; . . . więc te co nam dały,

Dni, dobre Nieba, wesoło spędzajmy,

Jedzmy smaczno, i hulajmy;

Nie się po nas nie zostanie!“ —

Takie rozumowanie,
Przekonało wieśniaka: skoro nocne cienie
Okryły ziemię, a głucho milczenie
Panowało po mieście, oba nasze Szczury,
Dość sporym krokiem,
Ruszywszy mrokiem,
Bezpiecznie przeszły bramy i obwodne mury:
Już i dostatnie gmachy mieszczą naszych gości,
Kędy na łożach ze słoniowej kości,
Błyszczy jasna purpura, jak oko zamierzy,
I gdzie obfite reszty z wczorajszej wieczerzy,
Stały w złocistych koszach: przez poszanowanie,
Sadza Szczur miejski gościa na pięknym dywanie;
Krząta się, biega, sam półmiski stawia,
Sam różne sosy zaprawia;
Każdej potrawy dobroć mu wyklada,
A nasz wieśniak wszystko zjada.
Gdy się unosi i chwali,
Alić hałas drzwi skrzypiących,
Spędza u stołu siedzących:
Przejęci strachem, latają po sali,
Ledwie dyszą z bojaźni; w krótkce pomieszanie,
Powiększa straszne brytanów szczekanie.
W tenczas, rzekł wieśniak: — „Bądź zdrów mój sąsiedzie,
Niechcę ja życia takiego,
Gdzie Szczur niepewien, nawet przy objedzie;
Wracam do lasu mojego.
Wolę w pokoju jeść groch mój suszony,
Niżli w bojaźni kapłony. “ —

BAJKA XII.

*Oryginalna.***Dąb i małe krzewy.**

Jesion przy Dębie stojąc rozłożystym,

Tak z nim rozmawiał nad wieczorną dobą: —

„Powiedz mi, czemu rosnący pod tobą,
Tłum roślin, drzewek, tak bardzo karlistym,
Tak nędznym, że się aż do ziemi zgina?

W tobie tej nędzy przyczyna,

Ty konar twoich niezmiernym ogromem,

Trzymasz krzew każdy poziomem;

Patrzący z góry zazdrośnie,

Pognębiasz wszystko, co pod tobą rośnie.“ —

„Niezgadłeś, — do przeciwnika

Odzywa się Dąb ów stary, —

Patrzaj, wszak moje konary,

Ni listek żaden tych krzewin nie tyka,

Ni czyni krzywdy najmniejszej:

Mam ja sposobek zręczniejszy,

Mam drogę równie bezpieczną;

Oto me wyniosłe czoło,

Nad krzewy temi szerząc się w około,

Jasność im tylko odbiera słoneczną.

Rosnąć bez światła, zostaną karłami,

A Dęby zawsze będą olbrzymami.“ —

Tej Bajki kilka wierszyków,

Odkrywa sekret ciemnot miłośników.

B A J E A III.

Naśladowana z Francuzkiego.

Listek Róży.

Oderwany od gałązki,
 Z krzewu, co zdobił Powązki,
 Gdzież niesion wiatrem burzliwie,
 Cały zeschły, i zwiędniały,
 Lecisz listeczku mój mały? —
 Gdzie lecę? . . . niewiem prawdziwie;
 Jakem się rozstał z mem drzewem,
 Raz zefir, znów akwilony,
 Niestałym swoim powiewem,
 W różne miotają mnie strony:
 Niosą z góry na dolinę,
 Znów po nad morską równinę. . . .
 Lecę, losom mym niełaję,
 Stanę, gdzie rzecz każda staje. —
 Napróżno ciekawość bada,
 Nikt kresu swego niezgadnie,
 Tam Listek Róży upadnie,
 Gdzie i Listek Lauru pada.

B A J K I A XIIV.

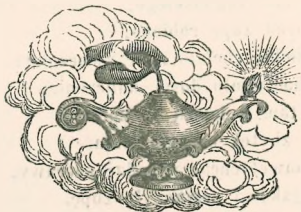
*Oryginalna.***Zupa z Żółwia morskiego.**

Państwo, jak mówią, dość znaczne,
Lubiące potrawy smaczne,
Dowiedziawszy się, że z Żółwia morskiego
U narodu Angielskiego,
Wyborną zupę robiono,
Takąż u siebie chciało mieć zwarzoną:
Ale choć miało dosyć nauczzenia,
Jakie tam wchodziły przyprawy,
Przez zbytek zarozumienia,
Dobremu nawet chcąc przydać poprawy,
Bóg wie, jaką nawarzyło zupę.
Wrzuciło korzeni kupę,
Pieprzu, imbiru kawalki,
Bobkowych liści, muszkatelu gałki,
Narznęło drobiu bez miary,
Kaczek, indyków, i gęsi dwie pary,
A wszystko razem, tak tego spieprzyło,
Tak potężnie osoliło,
Że gdy jeść przyszło, każdy się odzywa,
Co za zupa niegodziwa!
Dość, że na biedną potrawę,
Taką rzucono niesławę,

Iż się nią wszyscy jak jadem brzydzili,
Przeklinali, złorzeczyli.

Słyszac to Anglik, tak mówić zaczyna: —
„Że ta supa szkaradna, nie Anglików wina;
„Myśmy do miary, wszystkiego włożyli,
„Wyście wszystko przesadzili.

1793.



B A J K A X V.

*Naśladowana z Francuzkiego.***Szale Minosa.**

Minos siły straciwszy w ustawnem sądeniu,
 Widząc rzeczą niepodobną,
 Każdego ducha osobno,
 Słuchać i sądzić: po długiem zważeniu,
 Wymyśla sposób łatwiejszy,
 A może nawet pewniejszy:
 By o wartości każdej duszy badać,
 Sporządził Szalę wybornej roboty,
 W jednej pewną miarę cnoty,
 A w drugiej duchy zwykł wkładać;
 Jeżeli letka, dusza poszła w górę,
 A ciężar zasług na dole spoczywał,
 Natychmiast straszną powiedziawszy burę,
 Bez miłosierdzia do piekła skazywał:
 Przeciwnie, kiedy dusza przeważyla
 Szalę gdzie zasługa była,
 Wraz taką innym stawiać za przykłady,
 Do Elizejskiej w puszczał promenady.
 W podobnym trybie, widoczna zaleta,
 Krótkie perory, a prędkie dekreta;
 Szły sądy spiesznie: alć dnia jednego,
 Miesiąca niewiem którego,

Do Styxu nurtów zmęczonych,
Z świata tego przypędzonych,
Przyszło dwóch książąt, dwóch wielkich wezyrów
Jeden uczony, i trzech bohaterów.
Minos ich waży, przebóg! widzi zgrozą zdjęty,
Kręcą się Szale w sposób niepojęty,
Na próżno różnych sposobów próbuje,
Raz przydaje, znów ujmuje,
Po dwóch, czterech, po sześciu; aż gdy wszystkich razem
Włożył widłami wpoprzek, zukosa, i płazem,
Dopiero wtenczas zostali na dole.
Tu gdy sędzia stanowczą miał ogłosić wolę
Kiedy wszyscy ze drżeniem czekają wyroku,
Pocziwego rolnika postrzega na boku:
Woła, w wytartej sukni, kładzie w jedną Szalę,
W drugą powyższe duchy ubrane wspaniale;
Podnosi, ledwie wierzy, że go gwicht nie ludzi,
Jeden rolnik przeważył ośmiu wielkich ludzi.

B A J K I A XVI.

*Oryginalna.***Stary Kundel.**

Starego Kundla opadły szczeniuki,
Muce, mopsy, i charciuki,
Na czem świat stoi, czekały,
Wyły, do oczu skakały,
Kundel cóż nato? . . . Kundel stał spokojny. —
„Ty coś nawykły do wojny,
Rzecz mu żona, ty coś nieraz wpolu,
Nielekając się ni śmierci, ni bólu,
Bronił trzody zapalczywie,
Jakże możesz tak cierpliwie
Ponosić szczeniąt tych wycie?
Pokaż zęby należycie,
Lub łapą przygnieć którego.“ —
A Kundel na to: — „Cóż mi przyjdzie z tego:
Może z tych szczeniąt co wyją tak głośnie,
Dobry jaki pies wyrośnie.
Głupi niemoże urazić:
Gdybym którego chciał śmiałość ukrucić,
Na zawsze mógłby się zrazić,
Nie miałby serca, na wilka się rzucić.“ —

16. Stycznia 1817.

B A D A N I A.

*Z Francuzkiego.***Młodzik i Starzec.**

Młodzik nie lubiąc grammatyk, alwarów,
 Uciekłszy ze szkół, uniesion swobodą,
 Cheiwy natychmiast używać tych darów,
 Co tylko pracy, i zasług nagrodą,
 Spotyka starca, i wraz go zapyta: —
 „Ty w którym mądrość skromnością pokryta
 Naucz mnie proszę, przez jakie fortele,
 Można zrobić fortunę, mieć pieniędzy wiele?“ —
 Starzec mu rzecze: — „Sposobem bezpiecznym;
 Pracuj, ojczyźnie stań się pożytecznym,
 Niech się i jedna godzina nie traci,
 Dla dobra kraju, usługi w spółbraci.“ —
 „To życie przykre, i zbyt nie przyjemne:“ —
 „Więc obierz intrygi ciemne:“ —
 „I w tym potrzeba zachodów,
 Ja nie nie robiąc chcę wielkich dochodów.“ —
 Na to mu Starzec: — „Będę więc rzetelnym:
 Gdy ci się zdanie me niepodobało,
 Powiem po prostu, bądź głupcem bezczelnym;
 Widziałem, że się to wielu udało.

7. Marca 1810. w Warszawie.

B A J K A XVIII.

*Oryginalna.***Z r z ę d a.**

Starzec wywiedły i blady, i chudy,
 W tem co wprzód lubił, dzisiaj widział nudy,
 Cierpki, na czasy obecne się żalił,
 A upłynione, dawne tylko chwalił.
 Nie raz zwykł mawiać: „Rzecz niezrozumiana,
 Jaka to wieku odmiana!
 Kobiety w wdziękach, a mężczyźni w mocy,
 Jak dzień do nocy!
 Za moich czasów, jakie to obrady!
 Jakie na dworach parady,
 Jakie w młodzieży pastacie układne,
 Ach! co za kobiety ładne!
 W dzisiejszych, chociaż wykwintnie ozdobnych
 Niezobaczemy podobnych:
 Najpiękniejsza dziś hrabina,
 Nie będzie taką, jak pani krajeżyna,
 Nigdy z nich żadna, łez mych nieutuli,
 Po Lubomierskiej, Rossowskiej i Zuli.
 Co to za bale, ach jakie reduty,
 Gdzież dziś zobaczym, te złote bajuty,
 O pierwszą parę, dowcipne przycinki,
 A po nich lube, śliczne pojedynki;

Nieznano za mnie, co wisk, i bostony,
 Lecz za to pełne złota faraony.
 I w ucztach, gościnności położono tamę,
 Niezobaczysz kielichów, naparsteczki same;
 Pójdźmyż na teatr: czymże ta Barbara,
 Ludgarda, Cinna, Horacych ofiara,
 I ci tam w chórach butni wojownicy,
 Przy kafowych *) trzewiczkach i złotej szlafmicy,
 Czyż Owsińskich, Świeżawskich, tylu innych zliczę,
 Czym przy nich Szymanowscy, Żółkowscy, Kudlicze,
 Leduchowska, Dmuszewska, czym w swojej piękności,
 Przy pannie Tecnerównie, lub innej Jejmości?
 Cóż nam za dziwy, indyczemi pióry,
 Bazgrzą dzisiejsze autory!
 Krasickich i Trembeckich gdy wspomnę zalety,
 Budzą politowanie żyjące poety:
 I szczerze wyznać muszę, wolę Bielawskiego,
 Niżli wszystkich pisarzy, grona uczonego;
 Słowem, wierzyć możecie, jestem tego świadek,
 Wszędy widzę zepsucie, i wszędy upadek:
 Nawet, w samych żywiołach, niewiem co się dzieje,
 Nieraz latem śnieg pada, w zimie deszcz się leje,
 Jeżeli tak dłużej potrwa, pewnie Bóg odwieczny,
 Są nam zeszle ostateczny ".....
 Kiedy tak Zrzęda gadał, człek blisko siedzący,
 Ni różowo, ni czarno, na świat ten patrzący,
 Tak się odezwał: „Miły przyjacielu,

*) Dwie sztuczki przed lat 36. często bardzo dawane.

Być może, że się świat ten zmienił w rzeczach wielu
Lecz dozwól powiedzieć sobie,

Ta wszystkiego co nowym, surowa nagana,

Ta jak powiadasz odmiana,

Mniej jest podobno w czasach, niżli w samym tobie:

Nazywasz wiek ubiegły, dobrym i szczęśliwym,

Dlaczego? żeś sam wtenczas był młodym i żywym,

Że pełen życia, siły, chuci, co unoszą,

Wszystko dla ciebie było, powabem, roskoszą;

Żeś inaczej oddychał, że ludzie, świat cały,

W jasnych barwach przed oczy twojami stawały.

Dzisiaj kiedy na wszystko dawniej ulubione,

Skrzepła starość, posępna rzuciła zasłonę,

Wyznajmy (cofnąć zeszlých nie mogąc już chwili),

Że nie ludzie, nie czasy, myśmy się zmienili,

A dobrze nauczeni doświadczeniem długim,

Sami znosząc cerpliwie, pobbłajamy drugim. “ —

9. Marca 1817.

B A J E A XXX.

Naśladowana z Lafontaine.

Starzec i trzech Młodzieńców.

Zgrzybiały Starzec, sadił płonkę małą,
 Trzech Młodzieńców co tam stało,
 Śmiejąc się rzekło: — „Mój ty biedny człeku,
 Co w twojej głowie dzieje się,
 Mniejsza budować, lecz sadić w tym wieku,
 Jakiż ztąd owoc odniesie?
 Starcze, (gdyż, pozwól, że powiemy tobie)
 Jużś jedną nogą w grobie,
 Porzuć więc pracę i znoje,
 To co w przyszłości nie twoje,
 Wielkich zamysłów nadzieja, należy
 Do nas młodzieży. “ —
 „Nie do was samych moi przyjaciele,
 Odpowie Starzec, co człowiek zakłada,
 Długo się robi, a trwa lat niewiele,
 Prędko, czy późno śmierci ręka błąda,
 Nieuważając na lata,
 Starych, i młodych bez różnicy zmiata:
 Nikt niewie kiedy, komu, Bóg koniec przeznaczy,
 I kto z nas zorze ostatnią zobaczy.
 Będziecież mi jeszcze bronić,
 Sadić to drzewo, gdzie me pokolenie

Znajdzie chłód i pożywienie?

Temu, którego zyski nieunoszą,

Robić dla drugich już lubą roskoszą,

Już jestem owocem co może dziś zrywać,

Jutro, po jutrze, i długo używać;

Nikt tego nie wie, może ja tak stary,

Dziś jeszcze pójdę na mary,

Może też w czerstwiejszej dobie,

Przedłużę to życie biedne,

I na waszym, o ufna zbyt młodzieżo grobie,

Policzę słońce niejedno. “ —

Zgadł dobry Starzec, bo jeden z młodzieży,

Płynąc do Ameryki, w głębi morza łonie,

Drugi, gdy w bojach za laurami bieży,

Polega w szlachetnym zgonie,

A trzeci z wysokiego na dół spadłszy drzewa,

Duszę wyziewa.

Płakał ich Starzec w swem cichem schronieniu,

I przypadki niesłychane,

Tu wam przezemnie wspomniane,

Na twardym wyrył kamieniu.

16. *Lutego* 1816.

B A Ź K A XX.*Oryginalna.***Laur, Myrt i Cyprys.**

Niedarmo w ciągu nieszczęśliwych czasów,
 Pędziłem dni me wśród krzewów i lasów,
 Niedarmo w głębi głuchej Ameryki,
 Chodziłem po puszczy dzikiej:
 Gdyż sam doznałem, że miejsca odludne,
 Dla samotnego nie tak bardzo nudne,
 Są bowiem i drzewa pocziwe,
 Powierzchownością nie świetne,
 Przecięż od ludzi bardziej są dyskretne
 A pono równie jak i oni tkliwe.
 Tak więc w dalekie przeniesiony kraje,
 Drzew uczęszczaniem ciesząc mą osobność,
 Wyborną miałem sposobność,
 Poznać ich wszystkie skłonności, zwyczaje,
 Nauczyć się ich języka:
 Niedziw się prosze: jeźli Botanika
 Jest ci znajomą, jeźli Lineusza
 Dzieło, ciekawość twą budzi:
 Czytaj je, poznasz, że tak jak u ludzi,
 Jest w roślinach i czucie i dusza;
 Ileż to razy, gdy słońce wschodziło,
 Podśłuchać mi się zdarzyło,

Ich rozmowy, ich miłości,
Kłótnie, a nawet zazdrości,
Gdyż między krzewy, nie tak jak na świecie,
Kędy na jednym mężu, dość kobiecie;
Wśród roślin, żona choć mała i blada,
Dwudziestu mężów posiada.
Cobym ja rzeczy mógł o niej powiedzieć,
Lecz na cóż cudze tajemnice śledzić:
Gdybym ja paplać niepotrzebnie lubił,
Nie jedną różę na sławie bym zgubił.
Wolę więc taką rozmowę przytoczyć,
Co ani sławie niczyjej uwłoczyć,
Ni zgorszyć może: — Gdzie mój pokój mały
Trzy duże garki z roślinami stały,
W jednym Laur pyszny, w drugim Myrt podobny
A w trzecim Cyprys smutny i osobny:
Było to w głuchej jesieni,
Gdy liść na drzewie zieloność swą mieni,
I zwiędły pada: stały na stoliku
Dwie świece, przy nich szpargałów bez liku,
Stłumiony daszkiem kiedy płomień słaby,
Izbie mdlejącej światłości udziela,
Rzucając cały blask na Rafaela,
Cudnego pędzla podwajał powaby,
Nic piękniejszego jak moja Madona,
I Bozkie dziecko pnące się do łona;
Lecz gdy me oczy wabi wdzięków tyle,
I w słodkiej ciszy ulatują chwile,
Raptem mnie jakieś słowa uderzają,
Słucham, aż w garkach drzewa me gadają:

Laur mówił: „Już las z liścia obnażony,
A ja bez przerwy świeży i zielony,
Prawdziwie jestem bohaterów drzewem,
Mnie wieszczek nuci nieśmiertelnym śpiewem:

Ja to wśród zwyciężkich szyków,
Uwieńczam skronie dzielnych wojowników;
Dla mnie człek znosi powietrza odmienne,
I w trudach nocy przepędza bezsenne,
W pośród ognistych kul gotów się ciskać,
By jedną moją gałązkę pozyskać;
Wyznać możecie bez zarumienienia,
Żeście obok mnie nikczemne stworzenia.“ —

Myrt mu odpowie: — „Ja losom nie łaję,
Czem być kazały, spokojny przestaję;
Lecz ty dlaczego puszysz tak chępliwie,
Czy, że za tobą człek goniący chciwie,
Ślepy na ludzkość, wytępia narody,
I w głuche puszcze zmienia pyszne grody,
A gdy twe Laury uszczknie naostatek,
I pokaże się niemi uwieńczony,
Wieniec ten łzami nieszczęśliwych matek,
I krwią tysiąca młodzieży skropiony?
Kłęsek ludzkości, ty jesteś nagrodą.
Ja choć skromniejszy od ciebie urodą,

Choć bohaterów niezdobie,
Kontent przecie w mojej dobie,
Żem krzewem miłości tkliwej,
Żem pełen porannej rosy,
Oblubienicy szczęśliwej,
Uwieńczam skronie i cieniste włosy,

Jam godłem szczęścia, ty okrutnej sławy: „...
„Wraz ja zakończe te długie rozprawy,
Zawołał Cyprys, niech kłótnia ustanie,
Obu was krótkie dosyć panowanie:
Myrt ukochane uwieńcza młodzieńce,
Laur bohaterzy, czasem i szaleńce,
Lecz jakże długo? zapewne niedłuży,
Aż póki młodość i wiek krewki służy,
Bo nikt was pono niewidział włożonych,
Na skroniach siwym włosem opędzonych:
Zdobiąc młodzieńca póki w wieku kwiecie,
Potem na szrankach życia zostajecie,
Ja, nim śmierć przyjdzie, lat znikomych goniec,
Wszystkich wielkości przypominam koniec;
Ja drzewo smutne, ja Cyprys posępny,
Przecież towarzysz nigdy nieodstępny,
Ja choć się trumna zawrze ciężkim wiekiem,
Idę do grobu za człkiem. “ —

B A J K A III.

*Oryginalna.***Jabłoń i Poeta.**

Po ciężkich troskach, długiem oddaleniu,
 Niewiedząc jeszcze, gdzie mu życia meta
 Świat z wędrowawszy siadł w ojczystym cieniu,
 Sześćdziesiąt letni Poeta.

Smętną żrenicą gdy wszędy prowadził,
 Po okolicach zbyt lubej zagrody,
 Kędyż, zapyta, szczep Jabłoni młody,
 Com go w dzieciństwie posadził?

Wskazano drzewo za ogrodu wniściem,
 Na pozór rosłe, ogromne,
 Ale gałęzie już suche i łomne,
 Z rzadkim owocem, rzadkiem nawet liściem:

Jam się zbliżając z westchnieniem zawołał:
 „I tyś to szczep ów, tak bujny, tak gładki,
 Com z tyłą czułych starań wychodował,
 Jakież cię straszne zmieniły przypadki!“ —

„Te, co i ciebie, drzewo odpowiada,
 Jedna dola nami włada:

Obadwa czasu przygniecenii dłonią,
 Tyś był młodzieńcem, ja hożą Jabłonią,
 Tobie włos czarny, krył kształt czoła wązki,
 Liść gęsty moje okrywał gałązki,
 Ty hożą piękność nuciłeś rymami,

Ja świeżych kwiatów zionęłam woniami;
 Krótka ta pora luba i miłosna,
 Krótka nasza była wiosna.
Nadeszły burze i srogie przygody,
Tobą miotaly rozhukane wody,
Zbielał włos rzadki, zapadły źrenice,
I rylcem smutku, naznaczone lice,
Z ciałem, umysłu, gdy się siła skraca,
Pierzchają muzy, piękność się odwraca.
I we mnie ciosy swoje wiek jednoczy,
Wiednieją liście, owoc robak toczy,
Szalony wichur czoło na dół zgina,
A czas obudwom zachód przypomina:
Po burzach życia, gdy nastąpi cisza,
Miło młodości znaleźć towarzysza,
I na tej ziemi, pod przyjaznym cieniem,
Weselić starość, przeszłości wspomnieniem:
Tyś szczep mój krzepił, użyczał mu wody,
Ja ci użyczę schronienia, ochłody.
W niegładkich rymach, próżno myśl się więzi,
Zawieś twą lutnię, na uschłej gałęzi,
Znikomych rokosz, niech się żal ukoi,
Tobie już w cieniu, spoczywać przystoi,
Aż póki życie co zmęcił los sprzeczny,
 Zamknie sen wieczny. “ —

15. Czerwea 1816. w Skokach.

Spis rzeczy

zawartych w tym Tomiku.

Stronnica.

Rozprawa o Bajce..... 1

Bajki. Księga Pierwsza.

I. Suczka z Szczeniętami.....	27
II. Dwa Woły.....	32
III. Kozioł i Orzeł.....	34
IV. Dąb i Bluszcz.....	37
V. Pierścień	40
VI. Kura i Kaczęta.....	42
VII. Dwóch Ogrodników. <i>Z Floryana</i>	44
VIII. Róża i Flaszeczka.....	46
IX. Szczupak	48
X. Kłoe i Pszczoła. <i>Z Angielskiego</i>	50
XI. Lew i Piesek	52
XII. Obraz	55
XIII. Papuga.....	56

	Stronnica.
XIV. Gęś i Osioł.....	58
XV. Słowik w Urnie.....	60
XVI. Słońce i Mgła. <i>Z Duncyady Popa</i>	61
XVII. Fortuna i Poeta. <i>Z Aurelio Bertola</i>	62
XVIII. Krokodyl i zielona Jaszczurka. <i>Z Aurelio Bartola</i>	64
XIX. Pawian. <i>Z Angielskiego P. Gay</i>	66

Bajki. Księga Druga.

I. Osioł i Flet. <i>Z Hiszpańskiego de Don Thomas de Iriarte</i>	73
II. Niedźwiedź i Małpa. <i>Z tegoż</i>	75
III. Bobry	77
IV. Koty. <i>Z Niemieckiego Pfefel</i>	80
V. Człowiek i Zwierzęta. <i>Z Angielskiego P. Gay</i>	81
VI. Pszczoła, Konik polny i Mucha. <i>Z Włoskiego</i>	86
VII. Lew Sprawiedliwy. <i>Z Włoskiego</i>	88
VIII. Szpak, Niedźwiedź, Małpa, i Wąż. <i>Z Francuzkiego</i>	95
IX. Dwór Ulissesa przemieniony w Zwierzęta.	96
X. Rominek	97
XI. Wiewiórka i Niedźwiedź.....	99
XII. Dyogenes. <i>Z Francuzkiego</i>	103
XIII. Robaczek świecący i Podróżny.....	105
XIV. Światło i Ciemność	106
XV. Wytrysk i Strumień	108
XVI. Ślimak	110

Stronnica.

XVII.	Paw i Sowa.....	112
XVIII.	Dwa Kłosa. <i>Z Niemieckiego</i>	113
XIX.	Słoń, Turkawka i Sroka. <i>Z Francuzkiego</i> .	114
XX.	Fiałek i Kamień.....	116
XXI.	Gieniusz i Rozsądek.....	117
XXII.	Paw i Słowik.....	119

Bajki. Księga Trzecia.

I.	Kukawka	123
II.	Leda. <i>Z Francuzkiego</i>	127
III.	Woły	128
IV.	Złoto i Żelazo.....	130
V.	Wół i Skowronek	131
VI.	Gęś. <i>Z Francuzkiego</i>	133
VII.	Melon.....	134
VIII.	Dzwon i serce od niego. <i>Z Francuzkiego</i> .	136
IX.	Lis na śmiertelnej pościeli. <i>Z Angiel- skiego</i>	138
X.	Ryba.....	141
XI.	Jastrząb i Krogulec.....	143
XII.	Pies Legawy i Przepiórka. <i>Z Niemie- ckiego</i>	144
XIII.	Manowce i prosta droga.....	146
XIV.	Ser i Kartofel.....	148
XV.	Dwa Ptaszki.....	150
XVI.	Dwa Konie	154
XVII.	Małpa i jej Dzieci.....	156
XVIII.	Wieprz i Koń. <i>Z Francuzkiego</i>	158
XIX.	Owca i Sarna.....	160

XX.	Komor i Mucha. <i>Z Gellerta</i>	166
XXI.	Filiżanka.....	168

Bajki. Księga Czwarta.

I.	Orzeł i Sroka.....	171
II.	Sułtan i Derwisz. <i>Z Francuzkiego</i>	174
III.	Wesele Wilka. <i>Z François Neufchateau</i> .	176
IV.	Hortensya, kwiat tak nazwany.....	179
V.	Iskra.....	181
VI.	Mrowisko.....	184
VII.	Nos i Oczy. <i>Z Angielskiego p. W. Couper</i> .	188
VIII.	Lew i młody Lewek. <i>Z Angielskiego z Gay</i> .	190
IX.	Pies winowajezy. <i>Z Floryana</i>	192
X.	Pszczoły i Truteń.....	196
XI.	Szczur miejski i wiejski. <i>Horat. Serm.</i> <i>Lib. II. Satyra VI</i>	199
XII.	Dąb i małe krzewy.....	201
XIII.	Listek Róży. <i>Z Francuzkiego</i>	202
XIV.	Zupa z Żółwia morskiego.....	203
XV.	Szale Minosa. <i>Z Francuzkiego</i>	205
XVI.	Stary Rundel.....	207
XVII.	Młodzik i Starzec. <i>Z Francuzkiego</i>	208
XVIII.	Zrzęda.....	209
XIX.	Starzec i trzech Młodzieńców. <i>Z Lafon-</i> <i>taine</i>	212
XX.	Laur, Myrt i Cyprys.....	214
XXI.	Jabłoń i Poeta.....	218

J. U. NIEMCEWICZ.

